JULIAN NOWAK

WSPOMNIENIA
Z ŁAWY RZĄDOWEJ

KRAKÓW 1938

SKŁAD GŁÓWNY W DRUKARNI I KSIĘGARNI
ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

WSPOMNIENIA Z ŁAWY RZĄDOWEJ

JULIAN NOWAK

WSPOMNIENIA
Z ŁAWY RZĄDOWEJ

KRAKÓW 1938
SKŁAD GŁÓWNY W DRUKARNI I KSIĘGARNI
ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

NAKŁADEM AUTORA

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

OD AUTORA

Do opublikowania notatek z czasu mojej prezydentury gabinetu skłoniło mnie przekonanie, że historia początków tworzenia i konsolidowania się wskrzeszonego państwa polskiego będzie jednym z najbardziej interesujących i ważnych ustępów historii Polski, że przeto wszelkie tej epoki dotyczące dokumenty winny być traktowane jako źródła historyczne, a takimi są przeżycia i doświadczenia zebrane na ławie rządowej w tak politycznie krytycznym roku, jakim był rok 1922-gi. Notatki te, które pozwolę sobie nazwać wspomnieniami, nie są retrospektywnym opisem działań i wypadków ówczesnej epoki, lecz są zapiskami czynionymi współcześnie z toczącymi się akcjami, posiadają przeto zalety bezpośredniości, nie zajmują się zaś oceną faktów i osób działających, bo to należy do historii, lub do legendy.

Główne *dramatis personae* opisywanego przeze mnie okresu, to Naczelnik Państwa, Marszałek Piłsudski i Sejm, za których zgodną wolą objąłem rządy. To były te dwa najwyższe autorytety, z którymi miałem współpracować i przed którymi, poza opinią publiczną, byłem za moje czynności państwowe odpowiedzialny.

Współpraca z Naczelnikiem Państwa była o tyle łatwiejsza, że Naczelnik wiedział czego chce i co z pun-

ktu widzenia interesu państwowego było potrzebą i nakazem chwili. Po uzgodnieniu zamiarów swoich i dążeń z Naczelnikiem Państwa Rząd nie był ograniczony w doborze środków i dróg, na jakich zamierzał je zrealizować. Miał tu zupełną swobodę akcji. Natomiast wielogłowy Sejm, złożony z tylu rozmaitych elementów, nie mógł mieć w swej całości jasnego i jednolitego poczucia tego, co w danej chwili było najpotrzebniejsze lub konieczne, i na tym terenie nieodzowną była inicjatywa Rządu, wskazująca kierunek prac sejmowych. Zadaniem premiera było, aby jego program stał się programem, jeśli nie całego Sejmu, to tej czy innej jego większości i winien był tak pokierować Sejmem, aby ten przyjął istotne części jego programu. Da się to streścić w paru słowach: zadaniem premiera i Rządu była współpraca z Głową Państwa, a inicjatywa i kierowanie w zasadniczych liniach pracami Sejmu.

Z perspektywy piętnastu lat wydawać się może niejedna ówczesna sprawa, napełniająca troską Głowę Państwa, Sejm, Rząd oraz opinię publiczną, dziś, gdy przeszła do historii i stała się być może jednym z kamieni węgielnych budowy Rzeczypospolitej, rzeczą powszednią, której likwidacja taka, jak nam ją podaje historia, rozumie się sama przez się. Należy jednak wziąć pod uwagę, że przez te piętnaście lat Państwo stężało, nabrało siły, z niemowlęcia stało się dojrzałym organizmem i niejedno, co przed laty piętnastu mogło dla niego stać się tragedią podcinającą jego byt, dziś jest nie do pomyślenia. Dziecko, aby stać się dojrzałym człowiekiem, musi niejednokrotnie przebyć zwycięsko niebezpieczne dla niego próby, nic nie zna-

cące dla dorosłego, a podobnie ma się rzecz z organizmem państwowym, który, jak Polska, z zaczątku nie rozporządzającego znaczniejszymi siłami, doszedł po niewielu latach do potęgi.

Ponieważ najważniejszym problemem państwowym za czasu mojego urzędowania była kwestia przynależności do państwa Małopolski Wschodniej, przeto uważałem za wskazane wpleść do moich zapisków krótki szkic historyczny kolei, jakie ten problem przechodził, gdyż bez tego znaczenie, jakie Naczelnik Państwa przywiązywał do korzystnego dla Polski rozwiązania tego problemu i walka, jaką prowadziłem celem pozyskania Sejmu dla mojego w tej kwestii programu, mogłyby być mało zrozumiałe.

W aneksach dołączam przemowę moją podczas debaty sejmowej nad statutem dla Małopolski Wschodniej, tekst projektu przedłożony przez Rząd Sejmowi do uchwalenia oraz tekst statutu przez Sejm uchwalonego.

Dołączam dalej wystosowany do mnie list śp. prof. Alfreda Halbana, wówczas posła na Sejm, referenta wobec Sejmu statutu dla Małopolski Wschodniej. Prof. Halban mieszkał we Lwowie, znał dobrze Małopolskę Wschodnią, skąd posłował, toteż jego relacja co do wpływu uchwalonego przez Sejm statutu na efekt wyborów w tej części kraju posiada istotną wartość.

Wreszcie dołączam tę część decyzji Konferencji Ambasadorów w Paryżu z dnia 15 marca 1923 roku, która dotyczy uznania granic wschodnich Rzeczypospolitej, a zatem zatwierdza przynależność Wschodniej Małopolski do państwa polskiego. Ten między-

narodowy akt zamyka w sposów definitywny i nieodwołalny wiszącą, mimo wszystko, do ówczesnej chwili w powietrzu kwestię Małopolski Wschodniej. W decyzji tej mocarstwa skoalizowane przytaczają trzy motywy, które skłoniły je do powzięcia decyzji uznania wschodnich granic Polski, a to: przyznanie przez Polskę wschodniej części Galicji ustroju autonomicznego, gwarancje na rzecz mniejszości rasy, języka lub religii i bezpośrednie porozumienie Polski i Rosji co do wspólnej granicy.

Pleraque eorum quae rettuli, quaeque referam parva forsitan et levia memoratu videri non nescius sum. — . . . . non tamen sine usu fuerit introspicere illa primo aspectu levia, ex quis magnarum saepe rerum motus oriuntur.

Tacitus, Annales.

I

PRZESILENIE POLITYCZNE W WARSZAWIE
PROBLEM MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

Lipiec roku 1922-go był miesiącem politycznie niespokojnym. Namiętności, rozkołysane walką o władzę, uderzały z coraz większą siłą w niedość jeszcze zwarty korab młodej Rzeczypospolitej Polskiej. Zbliżały się wybory do Sejmu i czynniki, które sobie rościły prawo do władzy nad państwem, pragnęły przystąpić do wyborów z możliwie jak najlepszymi szansami zwycięstwa, które by im je oddało we władanie. Czynnikami tymi był z jednej strony Sejm, to jest reprezentowane w nim stronnictwa, a z drugiej strony ówczesny Naczelnik Państwa — Józef Piłsudski.

Wybory miały się odbyć na podstawie uchwalonej w dniu 17 marca 1921 r. Konstytucji, o której mówił poseł Głąbiński, że: „Nie będziemy potrzebowali wstydzić się tej Konstytucji ani przed swoimi, ani przed obcymi, gdyż projekt jej jest bardziej demokratyczny, niż konstytucje w państwach zachodnich", a którą mieliśmy w przyszłości drogo opłacić.

Wielkie i potężne stronnictwo narodowej demokracji stało w najostrzejszej opozycji do osoby Piłsudskiego i obiecywało sobie, że zdobywszy przy wyborach większość, nie dopuści go do prezydentury państwa

i w ten sposób raz na zawsze się go pozbędzie. Piłsudski natomiast musiał pragnąć osłabienia stronnictwa narodowo-demokratycznego, a wzmocnienia elementów, na które mógłby mieć wpływ. Ówczesny Gabinet Ponikowskiego z Michalskim i Skirmuntem mógł się wydać Piłsudskiemu niezupełnie odpowiednim do przeprowadzenia wyborów z wynikiem, który by mu dawał szanse dalszego normalnego, na prawie opartego wpływu na sprawy Rzeczypospolitej, do której powstania w tak wysokim stopniu się przyczynił. Ale również ważką przyczyną niechęci Piłsudskiego do gabinetu Ponikowskiego była sprawa przeciągającego się, z wielką szkodą dla Państwa, uznania wschodnich granic Rzeczypospolitej, a to głównie z powodu wiszącej wciąż jeszcze w powietrzu kwestii Galicji Wschodniej, która formalnie nie przynależała do państwa polskiego i którą miała rozporządzić według swego uznania Rada Ambasadorów.

Z tych przyczyn przyszło do ostrego konfliktu między Naczelnikiem Państwa a Gabinetem Ponikowskiego, w następstwie którego Gabinet podał się do dymisji i nad państwem zawisło przesilenie gabinetowe i prezydialne, które w skutkach swych miało w niedalekiej przyszłości doprowadzić do groźnego paroksyzmu, który wstrząsnął organizmem młodego państwa.

Sprawa Galicji Wschodniej z jej tymczasową, nieustaloną przynależnością do Polski była od samego początku powstania państwa polskiego jedną z najważniejszych jego spraw politycznych. Dzienniki, szczególniej „Czas“ krakowski, ciągle wskazywały na niebezpieczeństwo, jakie wynikało z tego, iż kwestia

ta wciąż jeszcze była otwartą i mogła być dla Polski niekorzystnie załatwioną.

Ziemia Czerwieńska, inaczej Ruś Czerwona, przesiąknięta kulturą polską, z gęstym zaludnieniem rdzenną polską ludnością, z miastami i miasteczkami oraz z dworami wiejskimi niemal wyłącznie polskimi — stanowiła przejście od Polski etnograficznej do rozległych płaszczyzn rozłożonych po obu brzegach Dniepru, zamieszkałych przez ludność etnicznie prawie identyczną z ludnością Rusi Czerwonej, różniącą się od niej niemal jedynie obrządkiem religijnym. Przez Ruś Czerwoną i przez owe ziemie przydnieprowe, czyli przez Ukrainę, prowadziła droga do Morza Czarnego szlakami handlowymi istniejącymi jeszcze za czasów rzymskich, a łączącymi wschód i centrum Europy ze Wschodem, a pośrednio i z basenem Morza Śródziemnego. Nic też dziwnego, że Rosji, będącej we władaniu Ukrainą, solą w oku była okoliczność, że znaczne obszary zamieszkałe w przeważnej części przez ludność rusińską, znajdują się poza granicami państwa rosyjskiego i mogą się stać ośrodkiem irredenty dla Rusinów w granicach Rosji zamieszkałych. Toteż Galicja Wschodnia była od dawna stałym terenem propagandy rosyjskiej. Nie omieszkały też oficjalne sfery rosyjskie skorzystać z nadarzającej się wnet po wybuchu wojny sposobności, jaką było zajęcie Lwowa przez wojska rosyjskie, aby stwierdzić, że dla Rosji jednym z celów podjętej wojny było zdobycie ziem zamieszkałych przez Rusinów, a leżących w obrębie monarchii austro-węgierskiej, a przede wszystkim przyłączenie do Rosji Galicji Wschodniej.

Dał temu wyraz Jerzy hr. Bobrinskij, mianowany

gubernatorem wojskowym zajętego kraju, w przemowie swojej we Lwowie we wrześniu 1914 r., zaznaczając, że: „Galicja Wschodnia i Łemkowszczyzna z dawien dawna stanowiły rdzenną część jedynej wielkiej Rosji. Na tych ziemiach rdzenna ludność była zawsze rosyjska, a zatem układ stosunków na tych ziemiach powinien się zasadzać na pierwiastkach rosyjskich". Zapowiedział też Bobrinskij, że: „będzie tam wprowadzał rosyjski język, prawo i ustrój".

Było rzeczą jasną, że wielka wojna w ten czy inny sposób postawi na porządku dziennym kwestię polską, która musiała zainteresować przede wszystkim państwa centralne. Ale te, nie doceniając jej znaczenia, odrzucały ją sobie w ciągu wojny nawzajem jak piłkę. W jednym tylko wydawały się być zgodne: aby państwo polskie, o ile by się w ten czy inny sposób z zawieruchy wojennej wyłonić miało, było dostatecznie słabe. Nie leżało też wcale w ich intencji powiększenie ewentualnych przyszłych dzierżaw polskich obszarem Galicji Wschodniej. Szczególniej zainteresowaną w tym kraju była Austria, gdyż do skarbca jej polityki należała stale tak zwana „kwestia ruska", czyli antagonizm polsko-ruski, wyzyskiwany przy nadarzających się sposobnościach na korzyść rządów centralnych z pewnymi dynastycznymi perspektywami na nieokreśloną bliżej przyszłość.

Ale kwestii polskiej nie doceniały również i mocarstwa skoalizowane, czego wyrazem jest pakt petersburski z dnia 11 marca 1917 r., w którym Francja przyznała Rosji zupełną swobodę w oznaczaniu wedle swej woli jej granic zachodnich, co czyniło ze sprawy polskiej czysto wewnętrzną rosyjską kwestię. Chciano

w ten sposób spoić ściślej z Koalicją chwiejącą się w sojuszniczej wierności Rosję, objętą już groźnym wrzeniem rewolucyjnym, które skłoniło cara Mikołaja do abdykacji w kilka dni później, bo w nocy 15-go marca.

Rewolucja rosyjska była bardzo doniosłym zdarzeniem, które wywarło decydujący wpływ nie tyle na dalszy przebieg wojny, ile na powojenne ukształtowanie się Europy. Wywarła ona także duży wpływ na dalszy rozwój sprawy polskiej, szczególnie, gdy prowizoryczny rewolucyjny rząd rosyjski ks. Lwowa ogłosił dnia 30 marca 1917 r. deklarację, stwierdzającą, że: „Naród rosyjski, który zrzucił jarzmo, przyznaje także polskiemu, bratniemu narodowi pełne prawo do stanowienia o swoim losie wedle swej woli". Ułatwiało to w wysokim stopniu kwestię restauracji Polski niepodległej i określenia jej wschodnich granic, gdyż spośród czynników, które po ukończeniu wojny miały zawierać z Niemcami pokój i kształtować powojenną Europę, ubywała Rosja. Pakt petersburski z 11 marca przestał obowiązywać i Koalicja, a specjalnie Francja, uzyskiwała w kwestii polskiej zupełną swobodę. Toteż nic nie stało już na przeszkodzie powstaniu w centrum potęgi koalicyjnej, w Paryżu, w czerwcu 1917 r. Narodowego Komitetu Polskiego, mającego za cel rekonstrukcję państwa polskiego w oparciu o aliantów i z ich pomocą.

Z tym łączyło się drugie ważne dla sprawy Polski wydarzenie, a mianowicie powołanie do życia we Francji dekretem prezydenta Poincaré z dnia 4-go czerwca 1917 r. wojska polskiego, zwanego później armią Hallera, które miało walczyć pod polskimi

sztandarami, stanowiło część wojsk koalicyjnych, a wchodziło specjalnie w skład armii francuskiej, podlegając najwyższej komendzie marszałka Focha. Komitet Narodowy w Paryżu posiadał co do tych wojsk ważną prerogatywę, a mianowicie, że użycie ich poza frontem zachodnim mogło nastąpić tylko za jego zgodą.

Od tej chwili zatem polska akcja zbrojna w wielkiej wojnie osiągnęła swoją pełnię, walcząc przeciw dwom odwiecznym wrogom narodu polskiego, a to armia Hallera we Francji przeciw Niemcom, zaś Legiony Piłsudskiego przeciw Moskalom. To wyrównanie szal było politycznie potrzebne i niewątpliwie odegrało rolę przy ostatecznym tworzeniu państwa polskiego.

Rewolucja rosyjska potoczyła się koleją, po której zazwyczaj idą tego rodzaju rewolucje, to znaczy oddała w końcu władzę w ręce elementom najradykalniejszym, to jest bolszewikom. Ci, czując potrzebę zaprzestania wojny celem ustabilizowania się, podjęli inicjatywę zawarcia pokoju z mocarstwami centralnymi. Rozpoczęte w Brześciu Litewskim pertraktacje doprowadziły dnia 15 grudnia 1917 r. do umowy o rozejm. Celem przygotowania warunków do rokowań z bolszewikami, odbyła się dnia 18 grudnia w Kreuznach, głównej kwaterze niemieckiej, rada koronna, która zajmowała się również sprawą polską i która w rezultacie pozostawiła zachodnie rosyjskie granice na południe od Niemna do dowolnego uznania swemu austro-węgierskiemu sprzymierzeńcowi. W ten sposób ukształtowanie wschodnich granic Polski znalazło się niemal całkowicie w ręku Austro-Węgier.

Skorzystał z tego ówczesny austro-węgierski minister spraw zagranicznych hr. Czernin w zupełnie swoisty sposób. Chwycił się mianowicie deklaracji Ukraińców galicyjskich z listopada i z grudnia roku 1917, w których żądali nieprzyznawania Polsce Ziemi Chełmskiej i Wołynia i podziału Galicji na część polską i część ukraińską, oraz oparł się na analogicznych uchwałach kijowskiej Rady Centralnej z końca listopada tegoż roku.

Nadzwyczajny narodowy zjazd ukraiński we Lwowie uchwalił domagać się udziału w rokowaniach brzeskich „delegatów ukraińskiej parlamentarnej reprezentacji“ w Wiedniu, w uznaniu zasady o samostanowieniu narodów i „żądać oddzielenia od właściwej Galicji obszarów polskich (W. Ks. Krakowskiego, Księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego), a przyłączenia do niej północnej, ukraińskiej części Bukowiny“. Uchwała zaznaczała, że „na wypadek, jeżeliby przy obecnych pokojowych rokowaniach nie nastąpiła wymiana poszczególnych obszarów pomiędzy państwami w grę wchodzącymi i granica między Austro-Węgrami a Rosją, względnie obecną republiką ukraińską pozostała niezmieniona, zjazd narodowy domaga się przywrócenia Królestwa Halickiego i Włodzimierskiego w granicach austro-węgierskiej monarchii i utworzenia z tego kraju i ukraińskiej części Bukowiny odrębnej państwowej indywidualności“. Zjazd protestował „w każdym razie przeciw przyłączeniu wymienionych wyżej krajów ukraińskich i w ogóle etnograficznych obszarów ukraińskich do przyszłego państwa polskiego“ i żądał „na wypadek zakusów w tym kierunku z jakiejkolwiek strony — plebiscytu“.

To żądanie plebiscytu nie przeminęło jednak bez echa i mogło w przyszłości stać się dla państwa polskiego brzemiennym w skutki aktem politycznym.

Na rokowania zjechała do Brześcia pokojowa delegacja ukraińska z Kijowa i Czernin podpisał w dniu 9 lutego 1918 r. na podstawie uchwały austro-węgierskiej rady koronnej traktat pokojowy z republiką ukraińską, której traktat ten oddawał Ziemię Chełmską, Wołyń i część Polesia w ten sposób, że granica miała przechodzić tuż koło Lublina i w odległości od Warszawy nie większej, jak jakie sto kilometrów. Traktat przewidywał również podział Galicji na polską i ruską, ale odnośna klauzula tworzyła paragraf tajny.

Czernina zapewne niewiele obchodziły losy kijowskiej rzeczypospolitej ukraińskiej, która zresztą po przepędzeniu przez Bolszewików jej władz z Kijowa, niebawem przestała istnieć, natomiast o podziale Galicji myślał na serio, rezerwując Galicję Wschodnią wraz z Bukowiną na utworzenie samodzielnej prowincji austriackiej.

Równocześnie poczęły się rozgrywać wypadki doniosłe tak dla wyniku wielkiej wojny, jak i dla sprawy polskiej na drugiej półkuli, a mianowicie w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Wilson w orędziu do Senatu z dnia 22 stycznia 1917 r., pomyślanym jako prolog akcji pośredniczącej między walczącymi narodami, zaznaczył między innymi na skutek starań Ignacego Paderewskiego, że mężowie stanu wszystkich narodów winni się zgodzić na utworzenie „Polski zjednoczonej, wolnej i niepodległej". W kwietniu tegoż roku wypowiedziały Stany Zjednoczone wojnę Niemcom, a 8 sty-

cznia 1918 r. pojawił się program pokojowy Wilsona, zawarty w sławnych 14 „punktach". Punkt 13 dotyczył Polski i brzmiał: „Niezawisłe państwo polskie, które by musiało zamknąć w sobie niewątpliwie przez ludność polską zamieszkałe obszary, musiałoby być stworzone. Musiałoby ono posiadać wolny dostęp do morza. Jego gospodarcza niezawisłość i terytorialna nienaruszalność musiałaby być zagwarantowana przez międzynarodowy układ".

Prawie w tym samym czasie, bo dnia 5 stycznia 1918 r. określił premier Anglii Lloyd George w publicznym przemówieniu swój stosunek do sprawy polskiej, oświadczając, że „Polska niepodległa, obejmująca wszystkie żywioły rdzennie polskie, które chcą wejść w jej skład, stanowi pilną konieczność dla Europy zachodniej". Zatem tak Wilson, jak Lloyd George ograniczali Polskę do terenów ściśle etnograficznych.

Te teoretyczno-polityczne enuncjacje, dotyczące restauracji państwa polskiego, zostały niejako zamknięte deklaracją wersalską z dnia 3 czerwca 1918 r. czterech premierów mocarstw skoalizowanych, proklamującą utworzenie zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego z wolnym dostępem do morza, któremu to aktowi realną podstawę dało zwycięstwo Koalicji nad Niemcami i zawieszenie broni, jakie nastąpiło dnia 11 listopada 1918 r.

Ziemie polskie poczęły jednak już nieco wcześniej, z początku tylko fragmentarycznie, żyć własnym życiem, gdy 25 października 1918 r., po dymisji gabinetu Steczkowskiego, objął w Warszawie rządy z ramienia Rady Regencyjnej, będącej emanacją mo-

carstw centralnych, Józef Świeżyński, już bez zatwierdzenia władz okupacyjnych.

Pośród tych doniosłych wydarzeń weszła nagle i niespodziewanie kwestia Galicji Wschodniej w stadium ostre, gdy w nocy z dnia 31 października na 1 listopada 1918 r. dowódca we Lwowie, generał Pfeffer, Niemiec, oddał Ukraińcom, dysponującym ściągniętymi tam wcześniej oddziałami wojska złożonymi z Rusinów, cytadelę, koszary oraz nagromadzony w magazynach materiał wojenny, wydając przez to Lwów oraz wschodnie powiaty w ręce Rusinów i powodując wybuch powstania ruskiego.

Pełnomocnicy ukraińskiego Zgromadzenia Narodowego objęli administrację kraju, a dnia 15 listopada Narodowa Rada Ukraińska we Lwowie nadała państwu, które stworzyć zamierzała, nazwę republiki zachodnio-ukraińskiej z Petruszewyczem na czele.

Zamach z 1 listopada był zakonspirowany, niemniej był jednak przez zainteresowane strony od dawna przygotowany. Mianowicie dnia 19 października proklamowało ukraińskie zgromadzenie konstytucyjne we Lwowie powstanie niezawisłego i suwerennego państwa ukraińskiego „na zwartym etnograficznym obszarze ukraińskim", obejmującym Galicję Wschodnią i przyległe części północnych Węgier i Bukowiny. W memoriale, wysłanym do rządu austriackiego niedługo potem, donosiła Ukraińska Rada Narodowa, że „obejmuje od tej chwili administrację Galicji Wschodniej na mocy przekazania władzy przez rząd cesarsko-królewski, z którym zamierza działać w całkowitym porozumieniu". Poza tym żądała Rada Narodowa przesunięcia ruskich formacji wojskowych

i właściwego doboru oficerów. Były to przygotowania do puczu z dnia 1 listopada.

W odpowiedzi na najazd ruski, polski Lwów chwycił za broń i rozgorzała we Lwowie walka polsko-ruska, przenosząca się na kraj.

Niemcy, pobite przez Koalicję, musiały przyjąć takie warunki zawieszenia broni, jakie im podyktowano. Foch zaproponował umieszczenie między nimi opuszczenia przez Niemców wszystkich polskich terytoriów z r. 1772, w czym poparł go francuski minister spraw zagranicznych Pichon. Projekt jednak upadł wskutek oporu Anglii, albowiem premier Lloyd George i Balfour, podówczas minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, stanęli na stanowisku, że państwo polskie nie ma być Polską przedrozbiorową, lecz Polską ograniczoną do terytoriów etnograficznie polskich, których wyłączenie w danej chwili nie jest możliwe.

Pod wpływem powyższego stanu rzeczy poczęły się w opinii polskiej ścierać dwa prądy. Jeden pragnący przyłączenia do terenów czysto polskich takich obszarów zamieszkanych przez inne narodowości, które by mogły w przyszłości ulec polonizacji, oraz drugi prąd, przemawiający za złączeniem z Polską w szerokim zakresie ziem z przeważającą ludnością obcoplemienną na zasadzie autonomii, a nawet federacji. Ścieranie się tych dwóch poglądów na przyszłe ukształtowanie terytorialne państwa polskiego nie pozostało bez wpływu na rozstrzygające osobistości konferencji pokojowej, przy czym jednakże i broń polska, jako ostatnia instancja, niepoślednią odegrała rolę i zaważyła na ostatecznym ustaleniu granic Polski.

Powstanie ruskie we Lwowie uczyniło niewątpli-

wie pewne wrażenie na przygotowujących się do kongresu pokojowego mocarstwach koalicyjnych, które z tym problemem poczęły się obchodzić bardzo ostrożnie i z niedowierzaniem. Przy tym mocarstwa zachodnie wciąż jeszcze spodziewały się załamania się Bolszewików i powrócenia dawnej starej Rosji. Toteż problem Galicji Wschodniej istniał jeszcze parę lat nierozwiązany definitywnie i niepokoił młode państwo polskie także jeszcze przez rok 1922.

Dnia 18 stycznia 1919 r. zebrała się w Paryżu w pałacu na Quai d'Orsay konferencja międzynarodowa dla preliminariów pokojowych przy udziale reprezentantów 27 państw po stronie Koalicji. Polskę reprezentowali Ignacy Paderewski i Roman Dmowski. Kongres pracował pod kierunkiem Rady Najwyższej, zwanej „Radą Dziesięciu" (szefowie rządów i ministrowie spraw zagranicznych pięciu wielkich mocarstw). Rada Dziesięciu ograniczyła się niebawem do Rady, albo Komitetu Czterech (czterech szefów rządów: Wilson, Lloyd George, Clemenceau i Orlando) i ci decydowali o wszystkim.

Niebawem po otwarciu kongresu pokojowego, w ostatnich dniach stycznia, nastąpiło oficjalne uznanie niezawisłego państwa polskiego osobnymi aktami państw sprzymierzonych, w które to akty wlało pełne życie dopiero wytyczenie granic nowego państwa. Zanim to nastąpiło, musiało ono niejedne jeszcze przejść perypetie, przy czym na wszystkich niemal pograniczach interweniować musiał jako *ultima ratio* oręż polski.

Rada kongresu miała liczne komisje, które jej przygotowywały materiały. Komisja Terytorialna, nie-

zwykle ważna dla Polski, składała się wyłącznie z reprezentantów pięciu wielkich państw, przed którą to komisją zainteresowane kraje czy narodowości zjawiały się tylko w charakterze stron. Była także osobna komisja dla spraw Polski, której przewodniczył Juliusz Cambon, były ambasador francuski w Berlinie, a zasiadali w niej Amerykanin, Anglik, Włoch i Japończyk. Zwano ją krótko Komisją Cambona.

Tymczasem we Lwowie walki toczyły się bez przerwy i dopiero dnia 15 listopada zawarto trzechdniowy rozejm, przy czym niebawem nadeszła pomoc zbrojna z Krakowa, tak że ofensywa polska wyparła Ukraińców ze Lwowa, którzy jednak utrzymali w swych rękach tereny koło Lwowa i przez kilka miesięcy ostrzeliwali miasto.

Listopad 1918 r. był miesiącem, w którym w Warszawie rozegrały się bardzo doniosłe ze względu na tworzącą się państwowość polską wypadki polityczne. Dnia 11 listopada przekazała Rada Regencyjna Józefowi Piłsudskiemu, twórcy Legionów, który właśnie powrócił był z więzienia magdeburskiego, władzę nad wojskiem, a dnia 14 listopada rozwiązała się, oddając Piłsudskiemu władzę naczelną. Piłsudski tworzy rząd, a dnia 21 listopada pojawia się dekret, mocą którego obejmuje on, jako tymczasowy Naczelnik Państwa, najwyższą władzę Rzeczypospolitej, zatrzymując naczelne dowództwo armii, do której tworzenia przystępuje.

Jednym z pierwszych kroków Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa było zwrócenie się do Wilsona i do Focha z apelem, aby polskie wojska spod sztandarów amerykańskich i francuskich zostały jak naj-

spieszniej skierowane do Polski, co jednak nieprędko miało nastąpić.

W tym czasie sprawa Galicji Wschodniej wywoływała u mocarstw koalicyjnych wzrastające zainteresowania, niejednokrotnie w sprzecznych idące kierunkach. Podczas gdy w tymże miesiącu listopadzie ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu dano Komitetowi Narodowemu do zrozumienia, iż wszelkie fakty dokonane stworzone przez Polaków ich własnymi siłami, także i w Galicji Wschodniej, będą przez Francję mile widziane, to Foreign Office wręczył z początkiem listopada przedstawicielowi Komitetu Narodowego w Londynie notę, wskazującą na to, że „wszelka wojskowa lub inna akcja Rządu polskiego w Galicji Wschodniej, której celem byłoby przesądzić lub uprzedzić postanowienia konferencji pokojowej, będzie przez Rząd angielski bardzo niechętnie widziana".

Polska jednak nie miała wówczas dostatecznych sił, aby zwycięsko zakończyć rozprawę o Galicję Wschodnią i postawić koalicję przed faktem dokonanym, bo Piłsudski armię dopiero tworzył, a siła zbrojna, jaka wówczas była do rozporządzenia, była potrzebna nie tylko na terenie walki z Ukraińcami. Ziemie Rzeczypospolitej były niemal na wszystkich jej kresach objęte mniej lub więcej intensywnym i rozległym płomieniem wojny. W Wielkopolsce wybuchło powstanie dnia 26 grudnia 1918 r. i walki trwały do 16 lutego 1919 r., kończąc się rozejmem i linią demarkacyjną. Na wschodzie wojska sowieckie postępowały za wycofującą się armią niemiecką i zajmowały opuszczone przez Niemców obszary. Odpór dawały im na

północnym wschodzie wojska generała Iwaszkiewicza, a na Wołyniu Rydza-Śmigłego. W Cieszyńskim zaś czeskie wojska przekroczyły 23 stycznia 1919 r. niespodziewanie granicę i zajęły połać kraju. Nic przeto dziwnego, że Rzeczpospolita, znajdując się w opałach na wszystkie strony, nie miała możności uspokojenia z miejsca zawieruchy wschodnio-galicyjskiej.

Lwów, ostrzeliwany przez Ukraińców, pozbawiony oddechu, ze skąpym dowozem żywności, cierpiał bardzo, a bronił się bohatersko. W końcu stycznia 1919 r. udali się delegaci Lwowa (Ernest Adam i Edward Dubanowicz) do Komitetu Narodowego w Paryżu z prośbą, aby Komitet domagał się u rządów państw sprzymierzonych ułatwienia miastu obrony, lub doprowadzenia do rozejmu z Ukraińcami. Komitet na pierwsze się zgodził, drugiemu odmówił w słusznej obawie, że rozejm pociągnąłby za sobą linię demarkacyjną, a ta mogłaby się ku polskiej niekorzyści utrwalić. Misja, którą Rada Najwyższa w owym czasie przysłała do Galicji Wschodniej, i która zawitała do Lwowa podczas gorących walk, nie zdołała doprowadzić do rozejmu i powróciła do Paryża bez rezultatu. W drugiej połowie lutego podjęli Ukraińcy ogólną ofensywę, którą odparł generał Iwaszkiewicz przybyły z frontu litewsko-białoruskiego, uwalniając Lwów z pierścienia oblężniczego i przywracając zerwane połączenie kolejowe z Przemyślem.

Naczelnik Państwa, zajęty zbrojnie na Litwie, mógł słabo tylko popierać walki w Galicji Wschodniej. Sprawa zaś przyjazdu z Francji do kraju armii polskiej, uznanej przez rządy państw koalicyjnych na schyłku roku 1918 za „samodzielną, sprzymierzoną

i współwalczącą", poddaną władzy politycznej Komitetu Narodowego, przeciągała się i nie mogła wyjść z impasu z wielką szkodą dla kraju. Przetransportowanie armii natrafiało na trudności i gdy droga przez Gdańsk okazała się niemożliwą z powodu oporu Rządu niemieckiego, transport odbył się przez Niemcy. Józef Haller wyruszył z Francji 16 kwietnia 1919 r. na czele wojsk, których transport trwał do połowy czerwca. Armia składała się z sześciu dywizji i przewyższała uzbrojeniem oraz środkami technicznymi siłę zbrojną, którą wówczas Rząd warszawski potrafił w kraju zorganizować.

Przewiezienie armii Hallera do Polski było obciążone ze strony Koalicji warunkiem, iż nie zostanie ona użyta do walk z Ukraińcami, który to warunek postawiono Paderewskiemu, wówczas premierowi, podczas jego pobytu w Paryżu, a on go pod naciskiem Wilsona i Lloyd George'a przyjął. Po powrocie Paderewskiego do kraju, szybko przekonał go Naczelnik Piłsudski, że w danych warunkach przyrzeczenie Paderewskiego nie może być dotrzymane. Część wojsk przybyłych wzięła udział w operacjach w Galicji Wschodniej, co szybko zmieniło sytuację na tym terenie i do 20 maja 1919 r. wojska ukraińskie zostały wyparte po linię Brody, Stryj, Złoczów, Stanisławów.

Państwa sprzymierzone, zaniepokojone przeciągającymi się walkami polsko-ruskimi, przysłały do Polski misję z generałem Both'em, niegdyś wodzem Boerów afrykańskich, na czele. Misja ta wyznaczyła linię rozejmu polsko-ruskiego, zaczynając od Bugu na północy i okalając Lwów w ten sposób, że Borysław i Drohobycz z kopalniami nafty miały pozostać przy Ukraiń-

cach. Komisja Cambona linię tę przyjęła i uchwaliła jako wniosek na Radę Najwyższą.

Rada Najwyższa, dopilnowując wykonania przyrzeczenia, złożonego przez Paderewskiego, nieużycia armii Hallera do walk z Ukraińcami, zmusiła Rząd polski do wycofania jej z terenu Galicji Wschodniej, w następstwie czego Ukraińcy, wzmocnieni posiłkami napływającymi z Bolszewii, przeszli do ofensywy, zajęli Brody i Brzeżany i zagrozili Lwowowi. Koalicja, widząc, że wycofanie armii Hallera otwiera w konsekwencji Bolszewikom drogę do najazdu na ziemie polskie, zezwoliła w drugiej połowie czerwca 1919 r. na posłużenie się tymi wojskami, wskutek czego ofensywa bolszewicko-ruska została wnet przełamana; 15 lipca został zajęty Tarnopol, cała Wschodnia Galicja oswobodzona i przywrócona w niej dawna administracja.

Jednak Koalicja ani na chwilę nie zapominała o tym, że przynależność polityczna Galicji Wschodniej nie jest załatwiona i dając dnia 25 czerwca 1919 r. upoważnienie rządowi polskiemu użycia armii Hallera w walkach z Ukraińcami i do przeprowadzenia operacji po linię Zbrucza, Rada Najwyższa zaznaczyła, że ta jej decyzja w niczym nie zmienia postanowień, które ma powziąć Rada celem uregulowania stanu politycznego Galicji Wschodniej, czyli że Rada uznawała okupację powyższego terenu przez Polskę, ale nie uznawała przyłączenia go do państwa polskiego. Zresztą zezwolenie na penetrację aż do Zbrucza było tylko uznaniem istotnego stanu rzeczy, bo wojska polskie wówczas były już nad Zbruczem.

Celem wywarcia nacisku na mocarstwa sprzymie-

rzone oraz na opinię krajów zachodnich, powziął Sejm warszawski dnia 23 maja 1919 r. uchwałę, stwierdzającą między innymi, że „Galicja Wschodnia ze względu na historyczną łączność z Polską, wiekową jej pracę kulturalną oraz konieczność wspólnej granicy z Rumunią dla uzyskania dostępu do Morza Czarnego, musi należeć do państwa polskiego. Sejm oświadcza, że ludności ruskiej w granicach Rzeczypospolitej będą dane takie same prawa autonomiczne, jakie dane będą ludności polskiej na Ukrainie".

Sprawa przynależności Galicji Wschodniej była dla Koalicji twardym do zgryzienia orzechem, tym bardziej, że wszelkie decyzje w jej łonie mogły zapadać tylko jednomyślnie. Krzyżowały się tam na tym tle rozmaite, często rozbieżne interesy, a dominującą trudnością była zawsze jeszcze niezupełnie wygasła nadzieja, iż jednak może dawna Rosja powróci do życia i do sił. Stąd wynikały w Radzie Najwyższej zgoła groteskowe pomysły, jak np. oddanie tych terenów w okupację Czechosłowacji i Rumunii.

Przy udzieleniu Polsce w czerwcu 1919 r. zgody na użycie przeciw Ukraińcom armii Hallera zastrzegła Rada Najwyższa, że Polska będzie musiała przyznać temu krajowi autonomię terytorialną, a jego obywatelom wolności polityczne, religijne i osobiste. W tym względzie ma we właściwym czasie zostać zawarty układ między Polską a mocarstwami Koalicji, którego podstawą ma być prawo wolnego stanowienia mieszkańców Galicji Wschodniej o ich przynależności politycznej, czyli plebiscyt. Komisja Cambona dla spraw polskich w Paryżu układ taki na zlecenie Rady Najwyższej przygotowała.

Żądanie ze strony Koalicji nadania Galicji Wschodniej autonomii politycznej było zasadniczym warunkiem ewentualnego przyznania jej Polsce. Do odstąpienia od tego warunku Koalicja nie dawała się nakłonić.

W czerwcu 1919 r. został w Wersalu podpisany pokój z Niemcami, który odnośnie do Polski ustalał jej granice zachodnie, pozostawiając wschodnie w stanie płynnym. Tymi granicami, a raczej uprawnieniami dla Koalicji do ich wytyczenia, miał się zająć inny traktat, a mianowicie zawarty z Austrią w St. Germain en Laye, podpisany dnia 19 września 1919 r., w którym to akcie z inicjatywy Cambona Austria zrzekała się swych praw do Galicji na rzecz głównych mocarstw. Odnośny artykuł (91) traktatu brzmi: „Austria — o ile to jej dotyczy — zrzeka się na rzecz Głównych mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych wszystkich praw oraz tytułów do terytoriów, które poprzednio należały do dawnej monarchii austro-węgierskiej, a które znajdują się poza nową granicą Austrii".

Rada Najwyższa pragnęła możliwie szybko załatwić wiszącą w powietrzu kwestię przynależności Galicji Wschodniej, którą to sprawę miała w jej imieniu sfinalizować Komisja Cambona. Komisja ta poinformowała delegatów polskich o postanowieniach Rady Najwyższej co do tej sprawy, z których najważniejszym było postanowienie oddania Polsce Galicji Wschodniej w czasowe jedynie władanie. Przeciw temu zaprotestowali delegaci stanowczo, lecz gdy usłyszeli, że rzecz jest przesądzona uchwałą Rady Najwyższej, zgodzili się na przygotowanie żądanego przez Ko-

misję Cambona statutu, który miał zawierać zasady, na podstawie jakich miała Galicja Wschodnia być oddana Polsce w czasową administrację.

Położenie delegacji polskiej i państwa polskiego w ogóle wobec państw koalicyjnych odnośnie do problemu Galicji Wschodniej nie było łatwe. Wobec powstania ruskiego i długotrwałych walk na tym terenie trudno było udowodnić, że ruska ludność tego kraju, będąca tam w większości, pragnie przyłączenia go do państwa polskiego. A kwestia posiadania tej części dawnych dzierżaw polskich rozstrzygała o mocarstwowości Polski. Bez nich położenie geograficzne, a szczególniej polityczne państwa polskiego ukształtowałoby się dla niego bardzo niepomyślnie, co w przyszłości mogło być przyczyną groźnego ułożenia się rzeczy. Jasnym było już wówczas, że na powstanie niezawisłego państwa ukraińskiego wcale się nie zanosi i że Galicja Wschodnia, niezależna od Polski, będzie zależna od innych swoich sąsiadów, jakimi była z jednej strony Bolszewia, a z drugiej Czechosłowacja, która przez objęcie Rusi Przykarpackiej nie tylko odcinała Polskę od Węgier, ale przygotowywała sobie w ten sposób szlakiem Galicji Wschodniej pomost do Rosji, występującej obecnie pod formą Sowietów. Delegacja polska skonstruowała żądany statut i wręczyła go już dnia 25 lipca 1919 r. Komisji dla spraw polskich. Projekt statutu szedł daleko w ustępstwach administracyjnych i politycznych dla kraju, którym Polska miała zarządzać. Przyznawał Galicji Wschodniej osobny sejm z szeroką kompetencją ustawodawczą, a na czele odrębnego zarządu stać miał namiestnik, mianowany przez Naczelnika państwa polskiego. Język polski i ruski

miały być równouprawnione, a państwu polskiemu przysługiwało prawo zaprowadzenia obowiązkowej służby wojskowej. Wybory do tego sejmu miały być powszechne i proporcjonalne, co wobec przewagi Rusinów wydawało Polaków na ich łaskę i niełaskę. Toteż nic dziwnego, że Lwów, gdy wiadomość o tym projekcie do niego doszła, zareagował wysłaniem do Paryża delegacji złożonej z jednego narodowego demokraty, jednego ludowca i jednego socjalisty z protestem przeciw projektowi statutu. Delegacja niewiele wskórać mogła w sprawie na pół przesądzonej, ale w pomoc stanowisku polskiemu przyszła okoliczność, że na Radzie Najwyższej nie było zgody dla całego projektu i rzecz została odłożona.

Dnia 10 września 1919 r. został zawarty w St. Germain en Laye pokój między mocarstwami skoalizowanymi a Austrią, który dawał im w ręce, jak była powyżej o tym mowa, pewne formalne prawa do Galicji Wschodniej i w kilkanaście dni potem ze strony angielskiej delegacji pokojowej w Paryżu zostały podniesione zarzuty i zastrzeżenia co do zasiadania w Sejmie ustawodawczym w Warszawie posłów wybranych na obszarze Galicji Wschodniej.

Wreszcie dnia 21 listopada 1919 r. Rada Najwyższa, mimo oporu delegatów polskich, szczególnie co do tymczasowości mandatu, zadecydowała, że Galicja Wschodnia przypada Polsce jako obszar autonomiczny na przeciąg 25 lat, który to mandat ma Polska wykonywać pod kontrolą Ligi Narodów, a ta po upływie 25 lat będzie mieć prawo mandat ten utrzymać lub zmienić. Autonomia tego kraju była szeroko zakrojona. Sejm miał przyznany duży zakres w dziedzinie

ustawodawstwa samorządowego. Namiestnik koncentrował w swych rękach całą władzę wykonawczą w sprawach autonomicznych, a sprawował ją przez ministrów mianowanych przez siebie, a odpowiedzialnych przed sejmem we Lwowie. Namiestnik miał wobec sejmu ograniczone prawo veta. W sprawach niezastrzeżonych autonomią podlegać miała Galicja Wschodnia Sejmowi w Warszawie i władzom naczelnym państwa polskiego i miała prawo przez posłów swoich brać udział w Sejmie warszawskim. Galicja Wschodnia miała mieć osobnego ministra w rządzie polskim i osobnych urzędników w ministerstwach. Najwyższym trybunałem dla Galicji miał być trybunał lwowski. Sprawy wojskowe i reprezentacja zewnętrzna należała do Polski, ale z tym, że z tamtejszego kontyngentu wojskowego będą utworzone specjalne formacje, które w czasie pokoju stać będą w Galicji Wschodniej, a w czasie wojny będą mogły być użyte jedynie do obrony terytorium narodowego.

Po 25 latach miał nastąpić plebiscyt, którego wynik po tym okresie rządów większości ruskiej nie mógł ulegać wątpliwości. Delegacja polska, nie mogąc decyzji Rady Najwyższej wprost obalić, starała się o odroczenie jej wejścia w życie i gdy dla tego projektu został pozyskany Clemenceau, Rada istotnie wykonanie uchwały odroczyła, o czym zawiadomiła delegatów polskich dnia 22 grudnia 1919 r. z tym, że rzecz będzie rozważona później. Dodać należy, że granica wschodnia tej mandatowej Galicji miała się przedstawiać w ten sposób, że przy Polsce pozostawały powiaty Cieszanów, Jarosław, Przemyśl, Dobromil i Lisko, a reszta dawnej Galicji Wschodniej na wschód od po-

wyższych powiatów miała tworzyć ową mandatową prowincję.

Tymczasem zbliżały się nowe wielkie wydarzenia dziejowe, zdolne wywrzeć wpływ nie tylko na losy Polski, ale i na losy Europy. W kwietniu 1920 roku uderzył Piłsudski na Wołyniu na wojska Sowietów i dnia 8 maja zajął Kijów. Jednak wojska polskie zostały zmuszone do odwrotu i nie oparły się aż na przedpolach Warszawy. W tej opresji utworzona Rada Obrony Państwa zwróciła się do obradującej właśnie w Spaa (miejscowość w Belgii, niedaleko zachodniej granicy, naprzeciw Malmedy) z prośbą o pomoc ze strony aliantów. Ówczesny premier Władysław Grabski, który tam osobiście pojechał, podpisał dnia 10 lipca podyktowany mu przez Koalicję układ, który był ceną za przyobiecaną nikłą pomoc, a raczej za obietnicę pośrednictwa między Polską a Sowietami. Układ ten nazywa Bobrzyński („Wskrzeszenie Państwa Polskiego“) strasznym cyrografem. Gdyby był wszedł w życie, to granica wschodnia państwa polskiego byłaby przebiegała po ściśle etnograficznej linii, wytyczonej przez lorda Courzona, a przyjętej przez Radę Najwyższą dnia 8 grudnia 1919 r. jako tymczasowo ograniczającej od wschodu ekspansję polską. Linia ta, przedłużona na Galicję Wschodnią, byłaby znaczne jej obszary odcięła od Polski. Na szczęście Sowiety odrzuciły uczynioną im przez Anglię propozycję pośredniczenia. Potem przyszło zwycięstwo polskie pod Warszawą, a jako jego konsekwencja pokój w Rydze między Polską a Sowietami, podpisany 18 marca 1921 r. Znikły odnośnie do przynależności Galicji Wschodniej do Polski wszelkie trudności, jakieby bezpośrednio lub pośrednio mo-

gły się wyłonić ze strony Rosji sowieckiej i *via facti* formalnie przestały krępować Polskę zobowiązania podpisane w Spaa. Cała sprawa stanęła na zupełnie innej platformie. Granica między Rosją a Polską została ustalona za wspólnym porozumieniem obu państw, w rezultacie czego Sowiety zrzekły się wszelkich pretensji do Galicji Wschodniej. Pozostawało więc Polsce osiągnąć jedynie u Koalicji zgodę na ten fakt dokonany, to jest uznanie jej granic wschodnich i zrzeczenie się ze strony Koalicji wszelkich praw do decydowania w kwestii Wschodniej Małopolski.

Mimo jednak tej korzystnej pozycji, jaką Polska zdobyła na arenie międzynarodowej pokonaniem Bolszewików i osłonięciem Europy przed niebezpieczeństwem zalewu komunistycznego, sprawa uznania wschodnich granic Polski przez mocarstwa skoalizowane nie ruszała z miejsca i Galicja Wschodnia w dalszym ciągu oczekiwała decyzji mocarstw w kwestii swej przynależności. Podpisane przez Grabskiego w Spaa niesłychanie ciężkie dla Polski zobowiązania, mimo że najoczywiściej zostały przekreślone przez wypadki historyczne, jednak wciąż jeszcze były w państwach koalicyjnych uważane za obowiązujące. Przyczyną tego stanu rzeczy była niewątpliwie okoliczność, że Polska z trudem tylko i z bronią w ręku musiała ustalać swoje granice. Zatarg o Śląsk Cieszyński, o Górny Śląsk, o Wilno robiły na Zachodzie spragnionym pokoju wrażenie, że Polska jest elementem, który do pokoju dojść nie może i sieje niepokój, a trudności wewnętrzne, graniczące często z anarchią, rodziły wątpliwości, czy jednak to nowe państwo ma cechy

trwałości i czy potrafi państwowo zorganizować opanowane przez siebie obszary.

Petruszewycz, obwołany przez Narodową Radę Ukraińską 14 listopada 1918 r. naczelnikiem zachodniej republiki ukraińskiej, osiadł w Wiedniu wraz z dawnymi posłami ruskimi do Sejmu galicyjskiego i do wiedeńskiej Rady Państwa, i jako „rząd ukraiński" agitował na arenie międzynarodowej przeciw Polsce, a za oderwaniem od niej Galicji Wschodniej. Poparcia materialnego i moralnego nie brakło mu u wszelkich czynników Polsce niechętnych, jak np. w Pradze, gdzie wówczas funkcjonował uniwersytet ruski.

Liczne mniejszości wspomagane przez bezsilnych na razie nieprzyjaciół Polski, agitowały przeciw Polsce, zasypując Ligę Narodów skargami na polskie rządy, co tym łacniej im przychodziło, że Polska została skrępowana narzuconymi przez Koalicję klauzulami mniejszościowymi.

To też niebawem pod wpływem tych agitacji zaczęła Liga Narodów zajmować się Galicją Wschodnią i jej ludnością i np. decyzją swoją powziętą w Paryżu dnia 23 lutego 1921 r. stwierdzała, że Polska wcale nie otrzymała mandatu administracji Galicją i że jest *de facto* tylko okupantem wojskowym tego kraju, zaś suwerenem jego są, zgodnie z 91-ym artykułem traktatu z Austrią, główne mocarstwa.

Kanadyjczyk Doharty upominał się na Lidze Narodów o statut dla Galicji Wschodniej i delegat polski Askenazy zaledwie zdołał zapobiec powzięciu przez Radę Ligi jakiejś szkodliwej dla Polski uchwały

i osiągnąć skierowanie rzeczy na Konferencję Ambasadorów.

Skłonność do ustępstw na rzecz mniejszości narodowych i przyznawania im często nawet zbyt szerokich swobód autonomicznych, jaka się ujawniała w Warszawie w momentach, kiedy przynależność do Rzeczypospolitej terenów, w przeważającej liczbie przez te mniejszości zamieszkałych, stawała się wątpliwą, ulegała osłabieniu w miarę tego, jak utrwalało się przekonanie, że jednak nie może być inaczej, tylko granice wschodnie Polski zostaną uznane przez Koalicję, a Galicja Wschodnia pozostanie na stałe przy Polsce. Toteż Konstytucja, uchwalona w marcu 1921 r., kwestie uporządkowania spraw mniejszościowych (co do których Polska była związana osobnym traktatem, jaki wobec mocarstw przyjęła w Wersalu), tylko obeszła, nie rozwiązując ich wcale.

Polska, nie mając uznanej wschodniej granicy i nie mając jeszcze decyzji mocarstw co do losu Galicji Wschodniej, nie czuła się dobrze. Szkodziło to jej znaczeniu jako państwu, utrudniało jego organizację wewnętrzną i ośmielało mniejszości narodowe do coraz liczniejszych i silniejszych występów przeciw Polsce, co podsycali w celach własnych nieprzyjaciele i sąsiedzi Polski. Toteż aby temu stanowi rzeczy kres położyć, udał się w maju 1922 r. minister spraw zagranicznych Skirmunt na konferencję Koalicji do Genui, jednak nic nie wskórał i jak to oświadczył w Sejmie „w Genui sprawa ta mimo usilnych próśb nie była w jakiejkolwiek formie traktowana na konferencji". Skirmunt obiecał zarazem Sejmowi, że Rząd wniesie projekt samorządu dla narodowości zamieszkujących

państwo, czym rozwiąże kwestię mniejszościową. Skirmunt, Rząd Ponikowskiego i Sejm zrozumiał, iż bez rozwiązania tej sprawy, a w szczególności bez nadania Galicji Wschodniej samorządu, czyli uchwalenia statutu wymaganego przez Koalicję, nie można się spodziewać uznania przez nią granic wschodnich z pozostawieniem Galicji Wschodniej przy Polsce nie czasowo, lecz na stałe. Mimo to jednak rzecz tę obchodzono w myśl maksymy: *quieta non movere* — bo czynniki radykalnie nacjonalistycznie usposobione oraz miasto Lwów w obawie o swą przyszłość były wszelkiej myśli o samorządzie dla Galicji Wschodniej przeciwne.

Tymczasem zbliżały się wybory do Sejmu i do Senatu. W interesie polskiej racji stanu musiały one być przeprowadzone także na terenie Galicji Wschodniej. Nie wydawało się rzeczą bezpieczną uczynić to wbrew mocarstwom koalicyjnym, z którymi należało szukać porozumienia co do Galicji Wschodniej i przyznanie jej bezwarunkowe Polsce uzyskać nadaniem tej prowincji prawnej autonomii czyli statutu. Gdy zaś oprócz innych może jeszcze motywów Naczelnikowi Piłsudskiemu wydało się, że Rząd Ponikowskiego tego przeprowadzić nie zdoła, wybuchło przesilenie bardzo ostre i długo się przewlekające, bo od chwili przyjęcia dymisji gabinetu Ponikowskiego przez Naczelnika Państwa dnia 6 czerwca, aż do dnia 31 lipca.

Naczelnik Piłsudski desygnował na prezydenta gabinetu najpierw Przanowskiego, potem, gdy ten napotkał na trudności i zrzekł się swej misji, Artura Śliwińskiego, który jednak po sprezentowaniu swego programu Izbie otrzymał od niej dnia 7 lipca votum

nieufności i ustąpił. Teraz komisja sejmowa desygnowała na prezydenta gabinetu Wojciecha Korfantego, kandydata prawej strony Izby. Kiedy Piłsudski zgody swej odmówił, napięcie polityczne doszło do zenitu.

W ogólnym zdenerwowaniu brałem żywy udział wskutek tego, że wymieniano także i moją kandydaturę na prezydenta ministrów. Naokoło niej toczyła się dyskusja w prasie krakowskiej, przy czym obwiniano posła Federowicza, ówczesnego prezydenta Krakowa, że on udaremniał swoim stanowiskiem powołanie mnie na premiera. Dyskusja ta była o tyle dla mnie szczególniej denerwującą, że poseł Witos mówił mi jeszcze przy końcu czerwca, iż Klubowi Pracy Konstytucyjnej zaproponował moją kandydaturę w imieniu ludowców z tym, że Lewica się za tą kandydaturą oświadczy, że jednak kandydaturę moją musi postawić Klub Pracy Konstytucyjnej, bo do tego Klubu jestem politycznie zbliżony. W dalszym ciągu opowiadał mi Witos, że Federowicz na to się zgodził, ale ku jego zdumieniu „na posiedzeniu mężów zaufania Izby pary z ust nie puścił" i mojej kandydatury nie postawił. Witos był zdania, że przez to Federowicz przeciągnął przesilenie rządowe i państwu zaszkodził.

Mimo to nie byłem wcale pewny, czy jednak moja kandydatura znowu nie ożyje. Nie miałem żadnej ochoty rzucić się w ten ukrop rozpętanych namiętności politycznych w Warszawie i zdawałem sobie z tego doskonale sprawę, że nie znam sejmowego gruntu politycznego. Z niepokojem i z najwyższą troską obserwowałem przeto wypadki warszawskie. Gdy tylko napięcie rosło, zabierałem manatki sportowe i wyjeżdżałem do Nowego Targu na łowienie łososia,

ale i tu uspokojenia nerwów nie miałem, bo wody Dunajca dziwnym zbiegiem okoliczności tego roku były stale w lipcu bardzo ciepłe — za dnia od $+16^0$ C do $+22^0$ C, przy której to temperaturze łosoś wedle mego doświadczenia „nie bierze“, chodzenie przeto po wodzie było bez rezultatu, co wcale się do mego uspokojenia nie przyczyniało.

Prof. Leopold Władysław Jaworski, z którym się widywałem, powtarzał stale: „Będzie pan widział, że się na panu skończy; innego wyjścia nie widzę“. Wobec tego, na wszelki jednak przypadek myślałem o programie, jaki wypadłoby mi w danym razie przedstawić Izbie. Program taki wydawał mi się rzeczą nie łatwą; wszak miałbym objąć kierownictwo gabinetu na czas przejściowy i krótki — na czas wyborów. Sejm niebawem rozejdzie się do domu i pracować nie będzie. A chociażby nawet jakie dwa, czy trzy tygodnie obradował, to czyż przez ten krótki okres czasu i to tuż przed wyborami, ku którym już umysły wszystkich, a szczególnie posłów, były zwrócone — była możliwą poważna, twórcza praca prawodawcza? Z pewnością nie.

Po wyborach przyjdzie nowy Sejm — przyjdzie prezydent Rzeczypospolitej — gabinet wniesie dymisję — powstaną nowe stosunki polityczne. Nie można zatem w exposé realnie oceniać sytuacji — nie można przede wszystkim robić planów; a jednak program być musi.

II

APEL Z WARSZAWY – OBJĘCIE RZĄDÓW – PERSPEKTYWA WYBORÓW – PRZYGOTOWANIE PROJEKTU STATUTU DLA MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

Obawy moje, a obliczenia Jaworskiego się spełniły, bo któregoś dnia wieczorem przy końcu lipca 1922 r. telefonował do mnie poseł Federowicz z Warszawy, że kandydatura moja została z Naczelnikiem Państwa omówiona i że mnie przeto prosi, abym niezwłocznie do Warszawy przyjechał. Odmówiłem i odpowiedziałem, że pojadę tylko na zaproszenie Belwederu. Następnego dnia nocą otrzymałem wezwanie telefoniczne do natychmiastowego przyjazdu od posła Baworowskiego, prezesa Klubu Pracy Konstytucyjnej, który przedstawił mi konieczność przyjazdu ze względu na dobro państwa. Wobec tego nazajutrz rano pojechałem do Warszawy, do mieszkania posła Baworowskiego, który mnie poinformował, że Klub Pracy Konstytucyjnej zgłosił moją kandydaturę Naczelnikowi Państwa, który w zasadzie na kandydaturę się zgodził i właśnie mnie oczekuje w Belwederze.

Udałem się przeto niezwłocznie do Belwederu, rezydencji Naczelnika Piłsudskiego, który przyjął mnie w dużej sali I piętra. Konferencja trwała pra-

wie dwie godziny. Byliśmy oddzieleni od siebie szerokością stołu, przy czym Piłsudski siedział plecami do okien, mając mnie wprost naprzeciw siebie. Światło dnia było już słabe, bo zapadał mrok, zaś pokój, w którym rozmowa miała miejsce, miał okna tylko w jednej ścianie, poza plecami Piłsudskiego. On mnie widział doskonale i mógł obserwować każde drgnienie mej twarzy, podczas gdy dla mnie postać jego tonęła w cieniu i mroku.

Rozmowa z Piłsudskim dodała mi otuchy. Piłsudski zażądał pozostawienia nadal teki spraw zagranicznych Narutowiczowi, gdyż zależy mu na tym, aby tekę tę zatrzymał Narutowicz przynajmniej jakie cztery tygodnie, aby tak bezpośrednio z ministerstwa nie odchodził, a następnie wyraził życzenie, aby tekę wyznań i oświaty oddać Arturowi Śliwińskiemu, b. premierowi. Ale zaznaczył z naciskiem, że tu nie przemawia przez niego racja stanu, lecz tylko osobisty sentyment dla Śliwińskiego, któremu zrobił wielki zawód, wyrywając go z jego zajęcia, po czym Śliwiński obecnie osiądzie na lodzie. Dodał, że jeśliby się to nie dało zrobić, to on to rozumie, bo tu chodzi tylko o sentyment. Zauważył, że o ile chodzi o branie w rachubę obecnych ministrów, czy też pozbywania się ich, to będę miał zapewne trudności z ministrem spraw wewnętrznych Kamieńskim, oraz z ministrem sprawiedliwości Makowskim.

Podniósł jako człowieka bardzo na swoim miejscu, jako ministra kolei, Marynowskiego-Zagórskiego. W końcu wyraził życzenie, aby mógł się dość często porozumiewać z ministrem spraw zagranicznych, bo go to bardzo interesuje, a ma na tym terenie już dość

znaczne doświadczenie i abym nie był zazdrosny, gdy się będzie często informował bezpośrednio u ministra resortowego o biegu naszej polityki zagranicznej. Prosił też, aby minister finansów co dwa tygodnie przedkładał mu stan skarbu oraz bieg polityki finansowej. Żądał wreszcie Piłsudski, żeby bez niego nie przedsiębrać żadnych zmian w armii. Zgodziłem się na powyższe żądania, uważając je za naturalne.

Po konferencji ze mną zawiadomił Naczelnik Piłsudski marszałka Sejmu Trąmpczyńskiego i Komisję sejmową, że przedstawia im mnie jako swego kandydata na premiera. W Komisji niebawem odbyło się głosowanie, w którym otrzymałem większość przeszło pięćdziesięciu głosów, o czym znowu zawiadomiono niezwłocznie Naczelnika Piłsudskiego i jeszcze tego samego dnia wieczorem otrzymałem polecenie złożenia gabinetu.

Nazajutrz rano rozpocząłem pracę, która na razie polegała na tym, że miałem wejść przede wszystkim w kontakt z przewodniczącymi Klubów sejmowych i z dotychczasowymi ministrami, lub z kandydatami na ministrów. Zamówiłem przeto szereg rozmów w Sejmie, które mi zabrały niemal cały dzień. Zetknąłem się z przewódcami stronnictw, a mianowicie z Marianem Seydą, ze Stefanem Dąbrowskim, Dubanowiczem, Skulskim, Witosem, Matakiewiczem, Woźnickim, Czerniewskim, de Rossetem i Barlickim. Przedstawicieli Niemców i Żydów nie było w tym dniu w Warszawie, przeto zetknąłem się z nimi później. Seyda oświadczył, że Klub jego będzie głosował przeciw mnie, że jednak nie będą mnie zwalczać i zajmą stanowisko wyczekujące; to samo powiedział Dąbrow-

ski. Dubanowicz mówił, że oczekuje, iż w przyszłym Sejmie powstanie centrum, a w takim razie chadecy znaleźliby się w tym centrum. Skulski obiecał w przyszłości poparcie; obecnie gotów by był głosować za mną, ale mu to i jego Klubowi obecnie trudno przychodzi. Matakiewicz z Klubem miał głosować za mną. Inni oświadczyli się ze swoim poparciem; zatem ludowcy, Klub Pracy Konstytucyjnej, Wyzwolenie i socjaliści.

Sytuacja była taka, że nie uważałem za rzecz możliwą prowadzenie dłuższych rokowań z ewentualnymi kandydatami na ministrów, bo trzeba było albo w jak najkrótszym czasie, to jest do 24 godzin, złożyć gabinet, albo zrzec się misji i powrócić do Krakowa. Toteż zamierzałem, o ile możności, pozostawić będących wówczas w służbie ministrów przy ich tekach, zresztą ograniczyć się do kierowników ministerstw, a uzupełnienia odpowiednimi ludźmi przedsięwziąć później. Wszyscy ministrowie, z którymi konferowałem, zgodzili się zatrzymać teki, napotkałem jednak znaczne trudności przy próbach pozostawienia na jego miejscu ministra handlu i przemysłu Ossowskiego. Przeciw niemu oświadczył się stanowczo Klub Rosseta i przeciw niemu byli socjaliści, głównie Diamand, a także Klub Pracy Konstytucyjnej uważał zmianę na tym stanowisku za pożądaną. Wobec tego zrezygnowałem ze współpracy Ossowskiego, a wziąłem w rachubę jako kierownika ministerstwa wiceministra w ministerstwie handlu Strassburgera. Dalsza trudność wyłoniła się przy ministrze sprawiedliwości Makowskim; te stronnictwa, które albo mi przyrzekły poparcie, jak np. Klub Pracy Konstytucyjnej,

Klub Matakiewicza i Klub Rosseta, lub przyrzekły życzliwą neutralność, jak Klub Skulskiego, zażądały wyeliminowania z gabinetu Makowskiego, którego szczególnie zwalczały jako kandydata do teki sprawiedliwości. Gdym zamierzał Makowskiego wypuścić z rachuby, oświadczył mi Klub Socjalistyczny kategorycznie, że w takim razie odmawia mnie i gabinetowi swego poparcia. W zamian Skulski obiecywał, że jeżeli pominę Makowskiego, to on podczas głosowania ze swoim Klubem wyjdzie z sali, co da mi możność uzyskania większości i bez socjalistów. Po rozważeniu sytuacji zdecydowałem się Makowskiego w gabinecie pozostawić i oświadczyłem to Stesłowiczowi, który w tej sprawie konferował ze mną w imieniu Klubu Pracy Konstytucyjnej. Stesłowicz po krótkim namyśle oświadczył, że skorom tak rzecz definitywnie rozstrzygnął, to Klub tę moją decyzję przyjmuje i wobec rzeczy rozstrzygniętej na nią się zgadza. Były jeszcze pewne trudności z pozostawieniem teki zdrowia Chodźce, ale w poniedziałek po południu miałem gabinet gotowy, przy czym sam na razie zatrzymałem tekę oświaty. Niebawem też zgłosiłem się z dekretami do Naczelnika Piłsudskiego, który nominacje podpisał, przy czym wyraził swoje zadowolenie, że kierownikami niektórych ministerstw pozostali urzędnicy odnośnych resortów. Ministerstwo handlu i przemysłu zamierzałem później obsadzić kimś z osób politycznie zbliżonych do Klubu de Rosseta, zaś ministerstwo poczt rezerwowałem dla Stesłowicza, gdyby się później okazała możność jego wstąpienia do gabinetu. Na oświatę oraz na roboty publiczne miałem zamiar powołać niebawem odpowiednich ludzi, a co do spraw

zagranicznych pragnąłem rozpatrzeć się w sytuacji i ewentualnie w miejsce Narutowicza wybrać kogoś na ten resort się nadającego. Wybór nie był łatwy, bo kandydatów z rutyną dyplomatyczną było bardzo niewielu.

Naczelnik Piłsudski widząc, że między nominacjami nie ma nominacji Śliwińskiego na ministra oświaty, nie poruszył tej sprawy i nigdy o tym nie wspomniał.

Za parę dni miało się odbyć posiedzenie Sejmu, należało przeto wykończyć i zastosować do położenia obowiązkowe exposé, czyli program Rządu. Zażądałem od ministrów ich programów, jednak nie zmieniłem w gotowym już moim exposé nic, z wyjątkiem niewielkich dodatków co do polityki skarbowej, zaproponowanych przez ministra skarbu Jastrzębskiego.

Zanotować muszę, że otrzymywałem liczne anonimowe wyroki śmierci, grożące zabiciem mnie, jeżeli się nie zrzeknę prezydentury gabinetu.

Niebawem przyszło posiedzenie Sejmu, przed którym, w komplecie zebranym i przed szczelnie wypełnionymi galeriami, wygłosiłem moje exposé. Sejm wysłuchał programu z wielką uwagą i wśród zupełnej ciszy. Tylko w chwili, gdym apelował do Sejmu o poparcie Rządu, w części Prawicy podniosły się okrzyki: „Dobrze, dobrze, ale bez Makowskiego, bez Makowskiego!" Było to jedyne intermezzo. Apostrofa moja o odmłodzonych wyborami posłach, jacy wejdą do nowego Sejmu, została przyjęta ogólną wesołością, a exposé całe oklaskami Lewicy, a zupełnym spokojem ze strony Prawicy.

Nastąpiło głosowanie. Poseł de Rosset z Klubem

absentował się podczas głosowania, nie chcąc głosować przeciw, co zadokumentował przesiedziawszy głosowanie w pokoju ministrów. Podobno część Klubu Skulskiego także się absentowała. Głosowanie dało pięćdziesiąt kilka głosów większości za Rządem, co Lewica przyjęła hucznymi oklaskami, a Prawica spokojem. Wielu posłów pospieszyło do mnie z gratulacjami, a w pierwszym rzędzie Witos, którego po raz pierwszy widziałem widocznie uradowanego.

Sejm obradował w dalszym ciągu jeszcze parę dni, przy czym nie zaszło nic szczególnego.

Wspomnieć muszę jednak o małym incydencie, jaki się wydarzył po zamknięciu sesji sejmowej, incydencie bez znaczenia, ale rzucającym jednak pewne światło na ówczesne stosunki parlamentarne. Odwiedził mnie mianowicie jeden z wybitniejszych dziennikarzy stolicy i w rozmowie zauważył, że zapewne jestem mocno zadowolony, że Sejm poszedł sobie już do domu i mam spokój. Szczerze się zdziwiłem takim ujęciem sprawy i odrzekłem, że Sejm wcale nie był dla mnie ciężarem i że gdy się pozna jego psychikę, to współpraca z nim ma nawet pewne wdzięczne strony i niebawem się do niej przywyka. Moim zdaniem — wywodziłem w dalszym ciągu — tak skoncentrowana opinia publiczna kraju, jaką jest Sejm, jest dla Rządu pożyteczna, bo go zmusza do głębszego przemyślenia każdej rzeczy i do ostrożności przy wnoszeniu wszelkich nowych projektów. Przedłożenie rządowe, dla którego chce się uzyskać większość głosów, musi stać na pewnych nogach, aby się przy obradach nie wywróciło — i to jest dobrze, bo to zabezpiecza państwo przed zbyt pochopnymi, a przeto w rezultacie

najczęściej szkodliwymi eksperymentami, które nieraz drogo ludność kosztują.

Na schyłku sesji przychodzili do mnie posłowie z zapytaniami, czy wybory z pewnością się odbędą, czy też może Rząd ma zamiar wybory odroczyć. Nad wyborami ciążył bowiem problem Małopolski Wschodniej, która formalnie nie była uznaną za należącą do Polski, a zobowiązania, dane mocarstwom traktatowym, pomimo wygranej z Rosją wojny, czyniły pozycję Polski w tej sprawie bardzo a bardzo trudną. Sejm zdawał sobie wprawdzie z tego sprawę, ale nie chciał się nad tą kwestią głębiej zastanawiać i pod hasłem „jakoś to będzie" parł do wyborów, zadecydowanych uchwałą Sejmu przed objęciem przeze mnie steru rządów.

Mocarstwa, podpisujące traktat Wersalski, mianowicie Anglia i Włochy, a po części Francja (chociaż ta ostatnia w duchu przychylnym dla Polski), były zaniepokojone zamiarem Polski przeprowadzenia wyborów na całym obszarze państwa, a zatem i w Małopolsce Wschodniej, która znajdować się miała tylko w czasowej administracji Polski. Interweniowali przeto w tej sprawie tak u mnie, jak i u ministra spraw zagranicznych posłowie Anglii, Włoch i Francji. Poseł włoski Tomassini zwracał uwagę na to, że chociażby powyższe mocarstwa były jak najprzychylniej wobec Polski co do kwestii przynależności do niej Wschodniej Małopolski usposobione, to jednak wymagają, aby je o zamiarach naszego Rządu powiadomić i nie przedsiębrać nic bez ich zgody, nie pytając o pozwolenie. Mocarstwa będą wymagały dla Wschodniej Małopolski, w myśl zresztą podpisanych

przez polskie rządy umów, szerokiej autonomii terytorialnej. To jest perspektywa najdalej idących ustępstw, które Polska mądrymi krokami mogłaby ewentualnie u mocarstw w tej sprawie uzyskać.

Poseł angielski Max Mueller szedł w tym kierunku jeszcze dalej i obawiał się formalnego protestu mocarstw na wypadek przeprowadzenia wyborów także we Wschodniej Małopolsce, co mogłoby sprowadzić bardzo nieprzyjemne dla Polski komplikacje. Usilnie doradzał wybory odłożyć i wejść w pertraktacje z mocarstwami. Francja także żywiła obawy odnośnie do wyborów, tym bardziej, że była zaabsorbowana sporem z Anglią, i Panafieu, jej przedstawiciel, także był za odroczeniem wyborów i za uregulowaniem pierwej kwestii Małopolski Wschodniej.

Minister Narutowicz był w stałym kontakcie z powyższymi poselstwami i z jego informacji wynikało, że decydującym w kwestii wyborów w Małopolsce Wschodniej będzie stanowisko Anglii.

W angielskiej Izbie Gmin wysunięto żądanie, aby wybory we Wschodniej Małopolsce poddać międzynarodowej kontroli, na co Rząd odpowiedział wprawdzie, że myśl ta wydaje się nie do zrealizowania, mimo to należało się jednak liczyć z tym, że nie zaniedba on polecić swym agentom śledzić przebieg wyborów na terenie Małopolski Wschodniej i złożyć o nim dokładne relacje. Należało się liczyć także z tym, że o ile by informacje angielskich organów wywiadowczych o akcji przeprowadzenia wyborów na terenie Małopolski Wschodniej były dla nas niepomyślne (co łatwo stać się mogło, gdyż było rzeczą pewną, iż radykalno-nacjonalistyczne elementy ru-

skie dołożą wszelkich starań, aby dostarczyć szczegółów podających rzetelność wyborów w wątpliwość), to okoliczność ta mogłaby skłonić Rząd angielski w razie pomyślnego dla nas wyniku wyborów, do zakwestionowania ich ważności.

Rozmowy z posłami Koalicji w Warszawie na temat powyższej sprawy były podtrzymywane, a nasze zagraniczne placówki otrzymały instrukcje, aby łagodziły drażliwość gabinetów mocarstw, nie dopuszczając do wytworzenia się poglądu, jakoby fakt rozpisania wyborów na terytorium Małopolski Wschodniej uwłaczał uprawnieniom mocarstw.

Byłem w jak najlepszych osobistych stosunkach z posłami koalicyjnymi i mogłem się niejednokrotnie przekonać o ich szczerej życzliwości dla naszego młodego państwa.

Objąwszy ster rządów w Warszawie, przywitałem posła Tomassiniego jako dobrego znajomego z Krakowa, albowiem kilka tygodni temu witałem go uroczyście jako rektor w murach Jagiellońskiej Szkoły w jego charakterze delegata Rządu rzymskiego w misji do Uniwersytetu i podejmowałem go u siebie.

Z posłem angielskim Max Muellerem zawiązał się rodzaj osobistej przyjaźni, która sięgnęła poza mój krótki okres urzędowania w Warszawie, a poseł francuski Panafieu gotów był zawsze jak najrzetelniej z nami współdziałać. Te osobiste koneksje były niewątpliwie politycznymi atutami, ale jednak nie należało ich przeceniać, bo posłowie byli w końcu nie czym innym, jak wykonawcami zamierzeń swoich Rządów i chociaż z pewnością barwa ich raportów miała

duży walor, to jednak musieli działać stosownie do otrzymywanych instrukcyj. Toteż jakkolwiek porozumiewałem się z nimi bezpośrednio w kwestii wyborów w Małopolsce Wschodniej i przyznania tej prowincji na stałe i bez zastrzeżeń Polsce (co stać się miało przez uznanie ze strony mocarstw koalicyjnych naszych granic wschodnich), to jednak nie zaniedbywałem niczego, aby tę sprawę na terenie parlamentarnym jak najlepiej przygotować i sprostać wszelkim ewentualnościom.

Uchwałą Sejmu przeprowadzenia wyborów w listopadzie był mocno zaniepokojony, niemal przerażony, Askenazy, delegat Rządu polskiego przy Lidze Narodów. Uważał odłożenie wyborów na czas dłuższy i następnie przeprowadzenie rokowań z mocarstwami za rzecz absolutnie konieczną. Obawiał się mocarstw, szczególniej Anglii, a już przede wszystkim Ligi Narodów, której Anglia lubi używać za narzędzie do swych celów. Obawiał się, że Konferencja Ambasadorów, to jest Anglia, Włochy i Francja, za sprawą Anglii, a przy współdziałaniu Włoch, mogą po prostu załatwienie kwestii Wschodniej Małopolski oddać Lidze Narodów, a wtedy sprawa ta wypadłaby dla Polski jak najgorzej. Minister Narutowicz podzielał w zupełności poglądy Askenazego i parł również do odłożenia wyborów.

Temperatura polityczna około tej kwestii zaczęła się podnosić i prasa poczęła uderzać na alarm, że Rząd zamierza odłożyć wybory rzekomo z powodu Wschodniej Małopolski, a w rzeczywistości z jakichś innych niewiadomych przyczyn. Ja sam nie byłem z początku zdecydowany ani w jedną, ani w drugą stronę. Wie-

działem już jednak, że poniekąd nawet w myśl uchwały Sejmu (wniosek posła Halbana), należy przygotować natychmiast projekt jakiejś autonomii dla Wschodniej Małopolski. Znaleźliśmy w szufladach Prezydium Rady Ministrów oraz w szufladach Ministerstwa Spraw Zagranicznych kilka różnych projektów, złożonych do aktów, między innymi projekt Wydziału Samorządowego we Lwowie i projekt b. namiestnika Galicji, Bobrzyńskiego. Projekty te przestudiowałem i najprostszy, najpraktyczniejszy i ze stanowiska polskiego najpożyteczniejszy wydał mi się projekt Bobrzyńskiego. Bez ociągania się napisałem tedy do Bobrzyńskiego, do jego majątku pod Poznaniem z prośbą, aby przyjechał do Warszawy, a to celem opracowania na podstawie jego projektu statutu samorządowego dla Małopolski Wschodniej. W sprawie powyższej zaprosiłem do siebie posła Strońskiego, byłego profesora Uniwersytetu w Krakowie, przedłożyłem mu moje obawy co do Małopolski Wschodniej i prosiłem o pomoc w jego politycznym obozie i w prasie. Stroński podzielił moje obawy co do niebezpieczeństwa interwencji mocarstw i uznał za słuszne, aby ją uprzedzić uchwaleniem przez Sejm statutu samorządowego, ale uważał to za rzecz bardzo trudną i imprezę dla Rządu mocno niebezpieczną. Poradził mi pomówić z posłem Dubanowiczem i obiecał zyskać dla projektu opracowania statutu samorządowego arcybiskupa Teodorowicza. Wskazał na prof. Kasznicę, jako na takiego, który by nadał się do opracowania statutu. Podobnie jak ze Strońskim, odbyłem w tej kwestii konferencję z Dubanowiczem oraz ze Skulskim. Konferowałem też z posłem Steinhausem

i Baworowskim i zaprosiłem wreszcie do opracowania statutu Bobrzyńskiego i Kasznicę, zaś Löwenherza, który brał udział w dotyczących obradach w Paryżu 1919 roku, jako znawcę. Zasiedli przeto do stołu obrad: Bobrzyński, Kasznica i Löwenherz i w przeciągu jednego czy dwóch dni na podstawie dawnego projektu Bobrzyńskiego opracowali projekt autonomii wojewódzkiej dla trzech województw Małopolski Wschodniej. W naradach, które toczyły się pod moim kierownictwem, brali udział oprócz Bobrzyńskiego, Kasznicy i Löwenherza także minister spraw zagranicznych Narutowicz, minister spraw wewnętrznych Kamieński, minister Kumaniecki, poseł do Ligi Narodów Askenazy, Stanisław Łoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i radca Weissbrot z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Studziński, wiceminister z Prezydium Rady ministrów. Weissbrot jako doskonały, doświadczony w administracji pracownik, a Łoś jako doskonały znawca stosunków we Wschodniej Małopolsce oraz znawca kwestii Małopolski Wschodniej na terenie międzynarodowym. Projekt nie poszedł tak daleko, jak sięgały przyrzeczenia złożone Radzie Ambasadorów w roku 1919. Dawał autonomię województwom, ale nie przyjmował ministra Rusina dla spraw ruskich. Autonomię terytorialną odrzuciliśmy zasadniczo, ustępstwa zaś w kwestii zastępowania interesów ruskich przez urzędników-Rusinów u władz centralnych rezerwowaliśmy na wypadek, gdyby wskutek presji mocarstw musiało się porobić jakieś ustępstwa.

Po konferencji Kasznica poradził mi, aby do rozpatrzenia tego projektu powołać grono obywateli ze Wschodniej Małopolski, którzy by dać mogli pewną

rękojmię, że projekt ten znajdzie oparcie w Sejmie. Za doradą Kasznicy zaprosiłem przeto na dalsze narady burmistrza Lwowa i prezesa „Obrony Lwowa“ Neumana, dalej Włodzimierza Godlewskiego, Bogusława Longchamps, Wereszczyńskiego, posła Hausnera i posła Grzędzielskiego. Kasznica, Godlewski i Longchamps, Wereszczyński, a po części i Neuman reprezentowali kierunek demokratyczno-narodowy, Hausner kierunek socjalistyczny, a Grzędzielski ludowy (Piast), Löwenherz kierunek mieszczański, Bobrzyński zaś kierunek konserwatywny krakowski.

Obrady trwały kilka dni i projekt przedstawiony przez Bobrzyńskiego i Kasznicę nieznacznym tylko uległ zmianom. Zanotować muszę, że panowie ze Lwowa, a imieniem ich głównie Godlewski, Neuman i Longchamps zastrzegli, że biorą udział w obradach i kładą swoje nazwiska pod projektem jedynie pod tym warunkiem, iż Rząd w zamian za daną Małopolsce Wschodniej autonomię uzyska od mocarstw formalne przyznanie Polsce posiadania Wschodniej Małopolski. Narutowicz począł przeciw temu protestować, że Rząd takiego warunku przyjąć nie może. Uspokoiłem go jednak stwierdzając, że przyrzec to musimy, bo inaczej Ankieta spełznie na niczym, uczestnicy rozjadą się do domów i pozostaniemy bez projektu autonomii, poza którym stałby ktoś miarodajny. Zastrzeżenie powyższe wciągnięto do protokołu. Hausner i Grzędzielski tylko z początku brali udział w obradach, później zniknęli; inni uczestnicy obrad byli zdania, że wymienieni nie chcieli się jako posłowie krępować udziałem w obradach.

Po skończonych obradach zabrał głos Longchamps

i podniósł, że pierwszy to jest Rząd, który na serio i rzetelnie podjął sprawę Wschodniej Małopolski, za co należy się mu wdzięczność przede wszystkim od mieszkańców tej części Polski.

Zaproszenie na narady Bobrzyńskiego wywołało natychmiast w Warszawie pewien niepokój i o ile prasa tamtejsza wiedziała o naradach, odnosiła się do nich z wielkim niedowierzaniem. Bobrzyński dobrze wiedział o swej niepopularności w Warszawie. Podczas obrad zaproponował mi, abyśmy poszli razem na kolację, lecz za chwilę się rozmyślił i powiedział: „Nie, nie chodźmy, to by panu zaszkodziło". Taka jeszcze była nietolerancja polityczna i obawa przed politycznym doświadczeniem i zrównoważeniem. Jednym też z najprostszych sposobów napaści na mnie, używanych z powodzeniem, były doniesienia, że „Nowak radzi się Bobrzyńskiego" — „Nowak radzi się Jaworskiego" — „Nowak rozmawiał z Estreicherem" itp. Był to pospolity straszak, którym się dzienniki mnie nieprzychylne aż do zbytku posługiwały. Jednak muszę zaznaczyć, że „Rzeczpospolita", redagowana przez posła Strońskiego, od samego początku zajęła stanowisko neutralne i przez cały czas moich rządów nie doznałem z tej strony przeszkód, a nieraz doznałem nawet poparcia.

Na ogół częścią neutralnie, częścią życzliwie odnosiła się do Rządu prasa lewicowa. Atakowany był Rząd często i ostro przez prasę prawicową warszawską, wreszcie przez prasę prawicową poznańską i pomorską, oraz lwowską, a prym trzymały stale niemal w tej orkiestrze krakowskie „Wolne Słowo" i „Goniec". Z początku neutralny, potem jakiś czas przychylny,

stał się jednak wkrótce i aż do samego końca mojego urzędowania pozostał zaciętym przeciwnikiem Rządu, a przede wszystkim osobistym ministra Jastrzębskiego i mnie, tak zwany „Kurier Czerwony", redagowany przez Nowickiego, znanego ongiś na politycznym bruku wiedeńskim dziennikarza.

Ale powróćmy do sprawy Galicji Wschodniej. Projekt uchwalony przez Ankietę został prawniczo opracowany przez komisję złożoną z Weissbrota i Łosia, a nawet został przez Weissbrota przygotowany projekt samorządu wojewódzkiego dla całej Rzeczypospolitej, w których to ramach mieścić się miał i ten odrębny samorząd dla Wschodniej Małopolski. Jednak trudności w ujęciu i w opracowaniu problemu ogólnego samorządu wojewódzkiego były tak wielkie, żeśmy musieli od tego odstąpić. Na opracowanie samorządu wojewódzkiego dla całego państwa potrzeba by co najmniej pół roku czasu, samorząd zaś dla Wschodniej Małopolski był rzeczą bardzo pilną i musiał być uchwalony za tydzień, za dwa, jeśli mieliśmy mieć możność spokojnego przeprowadzenia wyborów w tej części państwa, dotychczas jako taka kwestionowanej. Przy tym samorząd ten nie może być dla wszystkich województw jednolity. Innego potrzebuje centrum państwa, a innego Kresy wschodnie, innego województwo pomorskie, a innego województwo krakowskie; przynajmniej innych jego granic i innego zakresu.

To były motywy, które nas skłoniły do zaniechania opracowania ogólnego samorządu wojewódzkiego, a ograniczenia się jedynie do samorządu dla trzech województw Małopolski Wschodniej. Gdy Weissbrot

i Łoś byli z rewizją pracy Ankiety gotowi, zeszli się Bobrzyński i Kasznica jeszcze raz i ustalili ostatecznie redakcję projektu ustawy o samorządzie dla Małopolski Wschodniej.

Marszałka Trąmpczyńskiego od samego początku wtajemniczyłem w trudności, na jakie napotykało przeprowadzenie wyborów we Wschodniej Małopolsce. Marszałek był zdania, że wybory należy koniecznie w terminie przeprowadzić i to na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej od razu. Sądził, że nie należy się pytać mocarstw wersalskich co one o tym myślą, bo *„wer viel fragt, bekommt viel Antwort"*, zgodził się jednak na plan mój uchwalenia autonomii dla Małopolski Wschodniej. Jednak nacisk tak ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jak i delegata do Ligi Narodów celem odłożenia wyborów nie ustawał, bo czynniki te były zdania, że należy mieć statut uchwalony przez Sejm i na podstawie tego statutu dopiero przeprowadzić rokowania z mocarstwami co do przeprowadzenia wyborów we Wschodniej Małopolsce. Byłem innego zdania, a mianowicie, aby mocarstwom przedłożyć projekt samorządu i nie pytać się ich o zdanie o nim, ani nie pytać się, czy zgadzają się na przeprowadzenie wyborów, czy nie. Należy stanąć na stanowisku niezaprzeczalnej suwerenności Polski, a samorząd traktować jako coś, co Polska daje sama, z własnej, nieprzymuszonej woli. W tym ujęciu sprawy utwierdził mnie marszałek Trąmpczyński i zdecydowałem się wysłać projekt autonomii opracowany przez Ankietę trzem zainteresowanym mocarstwom z tym, że taką oto autonomię zamierzamy dać, a wybory przeprowadzimy.

W konsekwencji Narutowicz, nawiązując do kilkakrotnych uprzednich zapytań ze strony poselstwa brytyjskiego, przedłożył posłom mocarstw koalicyjnych projekt autonomii, czyli statutu dla trzech województw Małopolski Wschodniej z tym, że Rząd przedłoży go do uchwalenia Sejmowi jeszcze w czasie sesji jesiennej i że statut ten jest wstępem do przeprowadzenia wyborów na całym terenie byłego zaboru austriackiego. Narutowicz zaznaczył, że Rzeczpospolita Polska uważa swe powyższe kroki, jako wypływające z suwerenności nad całą Małopolską, że jednak Rząd polski, oceniając szlachetną troskę mocarstw o los ludności terytorium, którym się mocarstwa zainteresowały, gotów jest wysłuchać uwag Rządów mocarstw sprzymierzonych odnośnie do formy projektowanego statutu, dopóki uchwała sejmowa go nie spetryfikuje definitywnie.

Przy tej okazji poseł wielkobrytyjski wyraził żal, że inicjatywa polska przychodzi w tej sprawie tak późno. Przed rokiem, gdy kilkakrotnie zachęcał Rząd polski do jej podjęcia, nie istniał jeszcze poważny szkopuł napiętych stosunków francusko-angielskich. Obecnie może on stać się źródłem poważnych trudności w poruszonej kwestii.

Za odroczeniem wyborów był także Naczelnik Państwa Piłsudski. Nie można zaprzeczyć, że były wówczas bardzo poważne argumenty za koniecznością odroczenia wyborów, ale mimo to nie było to łatwe do przeprowadzenia, albowiem wybory miały się odbyć późną jesienią, to jest do Sejmu 5 listopada, a do Senatu 12 listopada. Przesunięcie zatem terminu choćby tylko o dwa tygodnie, to jest sejmowych na

19 listopada, a senackich na 26 listopada groziło, że wybory odbędą się w czasie zimowym, bo od paru lat druga połowa listopada miała już zazwyczaj aurę zimową. Odroczenie o tydzień nie miałoby zaś żadnego zgoła znaczenia, tak samo zresztą i o dwa tygodnie, wszelkie zaś dalsze odroczenie przesunęłoby terminy wyborcze na sezon zimowy, temu zaś sprzeciwiały się niemal wszystkie stronnictwa, bo byłoby to wielkim utrudnieniem dla wyborów wiejskich.

Z konferencji, które odbyłem z przywódcami stronnictw, przekonałem się, że w kalkulacji mojej miałem zupełną rację i Barlicki, prezes Klubu Socjalistycznego, podniósł, że jakikolwiek zimowy termin wyborczy jest absolutnie nie do przyjęcia, a terminem zimowym musiałby nazwać także i 19 listopada. Zatem jeśli odłożyć, to chyba już do wiosny, to jest do kwietnia lub maja.

Myśl zatrzymania jeszcze na dłuższy czas Sejmu, zdenerwowanego dwumiesięcznym niemal, drażniącym przesileniem, oraz perspektywa tak długiego okresu przedwyborczego stanowczo mi się nie uśmiechała, a już zupełnie nie miałem ochoty robić tego na własny rachunek, tym bardziej, że odczuwałem instynktownie konieczność odbycia wyborów w terminie, oraz niebezpieczeństwa, jakie by odłożenie wyborów, szczególnie dla kwestii Małopolski Wschodniej, przynieść mogło. Jednak i nieodłożenie wyborów zbyt pośpiesznie przez Sejm uchwalonych, to jest przeprowadzenie ich bez porozumienia, lub przed porozumieniem się z mocarstwami mieściło w sobie niebezpieczeństwo protestu z ich strony. Sądziłem, że Rząd powinien zrobić to, co uważa w danej chwili

za konieczność państwową, a taką w pierwszej linii było zadokumentowanie wobec mocarstw, że chce się rzeczywiście dać Małopolsce Wschodniej pewną autonomię. To Rząd zrobił, bo przedłożył mocarstwom projekt tego samorządu z tym, że go przedstawi do uchwalenia Sejmowi i ma niepłonną nadzieję przeprowadzenia swoich zamierzeń. Co do dalszych kwestii należało się jednak podzielić odpowiedzialnością z Sejmem, a to tym bardziej, że obejmując rządy zastałem już uchwalony termin wyborów, lecz zastałem również kwestię Wschodniej Małopolski nie tylko nieprzygotowaną i zaniedbaną, ale obciążoną bardzo niepomyślnymi aktami. A mianowicie projektem statutu wypracowanym dla Rady Najwyższej przez delegatów polskich, który nadawał tym ziemiom tak obszerną autonomię terytorialną, że zbliżała się niemal do federacji, oraz podpisaniem aktu w Spaa, przyjmującego z góry wszystko, co trzy mocarstwa w kwestii Wschodniej Małopolski zadecydować będą chciały. Tak wyglądała naówczas hipoteka Wschodniej Małopolski.

W myśl programu podzielenia się w tej trudnej sprawie odpowiedzialnością z Sejmem, zażądałem od marszałka Trąmpczyńskiego zwołania jakiegoś ciała, które by mogło coś postanowić niejako w imieniu Sejmu, bo wprawdzie Sejm miał być zwołany z początkiem września, ale rzecz była pilną i należało natychmiast powziąć pewne decyzje. Postanowiliśmy przeto zwołać na 17 sierpnia Komisję dla spraw zagranicznych oraz Komisję konstytucyjną, które miały na wspólnym posiedzeniu wysłuchać racji Rządu i zadecydować o odłożeniu lub nieodkładaniu wyborów, albo orzec, czy należy dla tej kwestii bezzwłocz-

nie zwołać Sejm, czy nie. Komisje zostały zwołane i niebawem otrzymałem od marszałka zawiadomienie, że na 16 sierpnia zaprosił na poufne posiedzenie w tej kwestii przewodniczących stronnictw. Ze strony bliskich mi osób podnoszono, że zwołanie przez marszałka przewodniczących stronnictw bez porozumienia się uprzedniego ze mną w kwestii, która ma być nazajutrz na posiedzeniu połączonych komisyj sejmowych dyskutowaną, jest nielojalne i że jest to pułapką zastawioną na Rząd. Jednak przeciwnie, przekonałem się, że był to krok rozsądny i że marszałek oddał nim usługę tak mnie, jako naczelnikowi Rządu, jak i rzeczy samej. Zatem dnia 16 sierpnia odbyła się u marszałka Sejmu konferencja przewodniczących stronnictw, z której natychmiast po jej odbyciu spisałem możliwie dokładny protokół.

Efektem konferencji było, że wszyscy (z wyjątkiem Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej, które nie było reprezentowane na konferencji, bo poseł Federowicz był w Sopotach, Baworowski na Morawach, a Stesłowicz we Lwowie) oświadczyli się kategorycznie i bezwarunkowo przeciw odroczeniu Sejmu i za przeprowadzeniem wyborów w terminie uchwalonym.

Oświadczyli dalej, że Sejmu nie ma po co zwoływać, bo Sejm powie to samo i że nie należy tej kwestii omawiać na jutrzejszym posiedzeniu Komisji, bo nie można przed tak licznym gronem ludzi, którzy zasiadają w Komisjach, odsłaniać rzeczy z konieczności poufnych, dotyczących mocarstw, a odnoszących się do Wschodniej Małopolski. Lepiej żeby Komisje wcale nie obradowały, ale skoro już zostały zwołane, to trzeba im coś powiedzieć, lecz jak najmniej, bo

wszystko to przedostanie się na zewnątrz i Polsce zaszkodzi. Zatem nazajutrz odbyło się posiedzenie połączonych Komisyj, w którym brał udział i marszałek Trąmpczyński, a przewodniczył poseł Stanisław Grabski. Pierwszy zabrał głos minister Narutowicz, w paru tylko słowach dotykając kwestii Wschodniej Małopolski i stosunku do niej mocarstw traktatowych. Stosunek ten doradzałby takie ułożenie sprawy, aby wybory mogły się odbyć w późniejszym terminie, tak, aby tymczasem sprawy mogły się ułożyć w sposób dla nas pożądany. Następnie zabrałem głos i w sposób zupełnie ogólnikowy zapytałem, czy Komisje są zdania, że z powodów wyłuszczonych przez ministra spraw zagranicznych jest wskazanym odłożenie wyborów i do jakiego terminu, oraz czy Komisje są zdania, że one same mogłyby ewentualnie to odłożenie postanowić. Dyskusja była krótka. Oświadczono się za nieodkładaniem wyborów i stwierdzono, że tylko Sejm byłby władnym wybory odroczyć. Gdyby był zwołanym, to mowy o tym nie ma, aby akceptował odroczenie już postanowionych terminów wyborów. Nad wnioskiem posła Federowicza, który przyjechał z Sopot, aby jednak przedyskutować sprawę odłożenia wyborów ze względu na wiele momentów za tym przemawiających — przeszły Komisje do porządku. Poseł Jan Dąmbski w dłuższym przemówieniu zaatakował Prawicę, że ona ponosi winę bardzo niekorzystnego ukształtowania się dla Polski problemu Małopolski Wschodniej, bo przecież Paderewski jako premier przyjął w Paryżu ciężkie warunki mocarstw sprzymierzonych, a Grabski podpisał w Spaa wszystko, co mu Lloyd George podyktował i oni ponoszą pełną odpo-

wiedzialność za Wschodnią Małopolskę. Na tym posiedzenie się skończyło, a Narutowicz, Kamieński i ja udaliśmy się do Naczelnika Państwa, który bawił na konferencji w Sztabie Generalnym. Tam opowiedzieliśmy mu przebieg konferencji. Naczelnik był z takiego przebiegu narad bardzo niezadowolony i zatroskany o to, jak wobec tego stanu rzeczy ująć sytuację. Wszyscy trzej usilnie przemawialiśmy za tym, że wobec nastroju polityków kierujących Sejmem nie można żadną miarą odkładać wyborów. Że Rząd tego nie może uczynić na własną odpowiedzialność, że trzeba wybory rozpisać i to natychmiast dzisiaj, bo właśnie dziś upływa obowiązkowy termin ich rozpisania. Sprawy zaś trzeba przygotować tak, aby wybory przeszły spokojnie i odbyły się także we Wschodniej Małopolsce bez protestu mocarstw. Dyskusja była bardzo żywa. Wreszcie, po wyczerpaniu materii i argumentów, Piłsudski, oparłszy głowę na ręce, zamyślił się głęboko i w milczeniu trwał kilka minut, które wydawały mi się bardzo długie. Zdawałem sobie bowiem z tego sprawę, że odłożenie wyborów wywoła niesłychany zamęt. Być może, iż oprócz Klubu Pracy Konstytucyjnej, także to lub owo stronnictwo w głębi duszy życzyło sobie odłożenia wyborów. Jednakże niemniej było by odroczenie zwalczało namiętnie — co w przedwyborczej, podnieconej atmosferze mogło być w skutkach bardzo niepożądane. Sądziłem dalej, że mocarstwa oświadczające się stanowczo przeciw przeprowadzeniu wyborów w Małopolsce Wschodniej (Anglia i Włochy) z pewnością wzięłyby odroczenie wyborów za objaw słabości Rządu i za zachwianie się Polski co do prawnego posiadania Wschodniej Ma-

łopolski. Gdyby był przeto Naczelnik Państwa postanowił wybory odroczyć, zdecydowany byłem temu się oprzeć i raczej dymisjonować — z czego mogło się wyłonić nowe przesilenie, a raczej przeciągnąć stan od czerwca trwający i sprowadzić nieobliczalne następstwa. Toteż minuty namysłu Piłsudskiego wydały mi się godzinami i doznałem wielkiej ulgi, gdy Naczelnik podniósł głowę i powiedział: „Nie przekonaliście mnie panowie, ale ustępuję i dekret postanawiający wybory podpiszę". Tegoż samego dnia o godzinie 5-tej po południu Naczelnik podpisał dekret rozpisujący wybory, a był to już ostatni moment podpisania dekretu, aby wybory mogły się odbyć w terminie przez Sejm uchwalonym.

Gdy dekret został ogłoszony, prasa robiąca dotychczas wiele hałasu z powodu jakoby zamiaru Rządu odwleczenia wyborów, porzuciła ten temat jako już nieaktualny. Rozpoczęła natomiast kampanię wyborczą oraz poczęła z coraz większą namiętnością analizować kwestię wyborów we Wschodniej Małopolsce i zwalczać projekt autonomii, o którego istnieniu wiedziała, jak również i o naradach przy jego tworzeniu. Nastrój przeciw autonomii był coraz większy i coraz zaciętszy. Poważna prasa przeważnie milczała lub zachowywała neutralność wobec tej kwestii, częściowo zaś odnosiła się do sprawy rzeczowo i przychylnie.

Postanowiłem nie ogłaszać i nie podawać do publicznej wiadomości projektu autonomii, aby nie wywoływać przedwczesnej krytyki — jednak projekt ten częściowo przedostał się do wiadomości prasy, często fragmentarycznie i zniekształcony. We Lwowie powstał bardzo silny i namiętny ruch przeciw projek-

towi i przeciw myśli jakiejkolwiek autonomii dla Wschodniej Małopolski. Odbywały się pochody protestujące i wiece. Na jednym z takich wieców przemawiał przeciw autonomii poseł Głąbiński, co było dla sprawy niekorzystne, bo w ten sposób krępował się z góry jeden z przywódców Prawicy, co bardzo ujemnie wpływało na szanse przyjęcia projektu przez Sejm.

Sejm miał się zebrać na krótką sesję w drugiej połowie sierpnia, celem powzięcia niektórych koniecznych uchwał, jak np. uchwalenie nowej emisji banknotów, uchwalenie reformy wyposażeń dla funkcjonariuszów państwowych, a minister skarbu miał zamiar przedłożyć Sejmowi do uchwały pożyczkę państwową, t. zw. złotą, oraz ustawę podatkową. Funkcjonowanie Sejmu, szczególniej funkcjonowanie dłuższe podczas kampanii przedwyborczej było bardzo niepożądane, toteż w porozumieniu z marszałkiem Trąmpczyńskim ograniczyliśmy temat rozpraw sejmowych do minimum z tym jednak, że jednym z najważniejszych zadań Sejmu jest uchwalenie samorządu dla trzech województw Wschodniej Małopolski, w której tymczasem rozpoczął się ruski ruch terrorystyczny, zmierzający do tego, aby sterroryzować tamtejszą ludność, sterroryzować władze i nie dopuścić do przeprowadzenia wyborów na tym terenie. Rozpoczęły się masowe podpalania dworów oraz stert nagromadzonego zboża, pojawiły się zabójstwa i morderstwa. Od wschodniej granicy południowej części państwa poczęła złowrogo świecić łuna pożarów i dolatywać echo strzałów terrorystycznych.

Władze miejscowe nie były dość energiczne i nie miały dostatecznych środków do stłumienia terrory-

stycznej akcji ukraińskiej, która zmierzała do udaremnienia wyborów na tym terenie oraz, być może, do wzniecenia buntu.

W porozumieniu z marszałkiem Trąmpczyńskim postanowiliśmy zwołanie Sejmu na pierwsze dni września, jednak stanęła temu na przeszkodzie podróż Naczelnika Państwa do Rumunii w odwiedziny do króla rumuńskiego, która przypadała na 4 września, a powrót był przewidziany na dzień 9 września.

Naczelnik Piłsudski koniecznie i bezwarunkowo życzył sobie, aby Sejm zebrał się wtedy, gdy on będzie w Warszawie, a zatem nie wcześniej jak 9 września. Przewidywał nieprzyjęcie projektu autonomii, a w takim razie gotów był wobec Sejmu stanąć osobiście i wpływać nań w tym sensie, aby wybory odroczono wobec groźby interwencji mocarstw w sprawie wyborów we Wschodniej Małopolsce. Interwencja ta bowiem wobec poparcia, jakiego Petruszewycz doznawał tak w Niemczech, jak i w Sowdepii, oraz mniej lub więcej jawnych sympatyj w Austrii, a jawnego poparcia Czechosłowacji, mogła się stać dla Polski nie tylko nieprzyjemną, ale i groźną i w kwestii przynależności Wschodniej Małopolski do państwa polskiego poczynić niepowetowane szkody.

Naczelnik Piłsudski mocno był zaniepokojony sprawą Małopolski Wschodniej w ówczesnym jej stadium i gdy ze mną nad nią konferował, padło z jego strony pytanie: „Co panowie (rząd) zamierzacie uczynić na wypadek niemożności przeprowadzenia przez Sejm samorządu dla Galicji Wschodniej i protestu mocarstw przeciw wyborom na tym terenie?“

Odparłem, iż w takim razie wniesiemy o dymisję i ustąpimy.

— „O, to bardzo dobrze, że pan nie ma zamiaru trzymać się władzy. To panu daje siłę. W takim razie będę mógł na wypadek protestu mocarstw zasłonić się tym, że nie ma Rządu, bo właśnie dymisjonował z powodu protestu, a innego powołać nie mogę, bo nie funkcjonuje Sejm. Nie ma zatem konstytucyjnego organu państwowego, któryby mógł zastosować się do wymagań mocarstw".

To były przewidywania na przyszłość. Na razie zaś po interwencji mojej u marszałka Trąmpczyńskiego zgodził się tenże na zwołanie sesji sejmowej na 9 września, wskutek czego Naczelnik Piłsudski zaraz pojechał do Sinaja w odwiedziny do króla rumuńskiego.

Prasa mimo wszystko niepokoiła się wciąż jeszcze, chociaż wybory były rozpisane. Przewidywała ich odroczenie i czyniła hałas na ten temat, również jak na temat niebezpieczeństw wynikających z zamierzonej autonomii Wschodniej Małopolski. Wrzało szczególniej we Lwowie. Niektórzy panowie z biorących udział w opracowaniu projektu autonomii byli mocno zaniepokojeni, wskutek czego otrzymywałem w tej kwestii listy z zastrzeżeniami, że Ankieta uchwaliła takie a takie brzmienie i na jakąkolwiek zmianę projektu się nie godzi, że Ankieta wyraźnie zaznaczyła, że można uchwaloną na Ankiecie autonomię dać Małopolsce Wschodniej tylko pod warunkiem, że mocarstwa pierwej definitywnie i bez zastrzeżeń stwierdzą wieczystą przynależność Małopolski Wschodniej do państwa polskiego.

Wrzenie z powodu projektu autonomii dobiegało

we Lwowie do zenitu, a sekundowała mu część prasy krakowskiej, podczas gdy prasa warszawska zachowywała już przeważnie spokój i umiarkowanie w tej kwestii, gdy Sejm się zebrał. Zaraz na pierwszym posiedzeniu odbyło się pierwsze czytanie rządowego projektu autonomii i projekt został odesłany do Komisji konstytucyjnej.

III

PRZEPROWADZENIE PRZEZ SEJM STATUTU DLA MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ

Natychmiast, skoro się tylko posłowie w Warszawie zebrali, zaprosiłem przewodniczących stronnictw polskich do Prezydium Rady Ministrów na naradę w sprawie wymienionego projektu samorządu. Zjawili się wszyscy, a zatem pp. Głąbiński, Dubanowicz, ks. arcybiskup Teodorowicz, Skulski, Rosset, Matakiewicz, Starowiejski (za Baworowskiego), Barlicki, Rataj, Wyzwolenie i N. P. R. Odbyła się dyskusja, przy czym wszyscy zachowali rezerwę i nikt nie zaawansował się wyraźnie czy to za, czy też przeciw. Narutowicz przedstawił stronę polityczną sprawy i jej niebezpieczeństwa, wspomniawszy mimochodem o zobowiązaniach rządów polskich w tej kwestii wobec mocarstw. Na poparcie swych wywodów podniósł znaczenie not wystosowanych do Polski w tej sprawie przez mocarstwa i odczytał niektóre z nich. Rozeszliśmy się bez żadnej decyzji i bez żadnego rezultatu. Barlicki powiedział mi, że dla nich, tj. dla Partii socjalistycznej, jest niepodobieństwem oświadczyć się za takim samorządem, bo oni żądają samorządu terytorialnego, a to, że Hausner brał udział w naradach, ich nie obowiązuje. Wyzwoleniu taki samorząd wydawał się zupeł-

nie niewystarczający, gdyż oni byli za szerokimi upoważnieniami narodowymi dla Rusinów, zapewniającymi im zupełną wolność itp. Skulski, jakkolwiek przed paru dniami obiecał poparcie swojego Klubu, to jednak obecnie odszedł z narady nic nie rzekłszy i widocznie się wycofując. Sytuacja zatem wyglądała niewesoło, a Petruszewycz rozpoczął już z pomocą wszelakich sąsiadów Polski operować we Wschodniej Małopolsce pożogą i szerzyć terror.

Odbyłem ponowną naradę ze Strońskim i z Dubanowiczem, którzy oświadczyli mi, że są za uchwaleniem projektu samorządu opracowanego przez Rząd i że jest za nim ks. arcybiskup Teodorowicz. Udałem się też do ks. arcybiskupa i odbyłem z nim w tej sprawie konferencję, w wyniku której arcybiskup uznał krok Rządu za dobry i trafny i przyobiecał swoje poparcie dla projektu.

Po tych przygotowaniach odbyło się niebawem posiedzenie Komisji konstytucyjnej dla rozpatrzenia projektu. Komisji przewodniczył poseł Rataj. Była obecna w pełnym składzie. Narutowicza nie było — ze strony Rządu byłem tylko ja, min. Kamieński i Łoś, jako ekspert, oraz radca Weissbrot i wiceminister Studziński. Poseł Rataj powiedział mi poprzednio, że dla Klubu Piasta jest rzeczą bardzo trudną oświadczenie się za projektem samorządu dla Małopolski Wschodniej i popieranie go. Że muszę ich do tego publicznie zmusić, oświadczając, że inaczej grozi nam utrata tej części państwa, a przynajmniej trudności dyplomatyczne nie do pokonania.

Przedstawiłem Komisji stan sprawy, analizując w głównych zarysach projekt rządowy. Podniosłem

trudności, jakie nam grożą w razie przystąpienia wprost do przeprowadzenia wyborów w Galicji Wschodniej i zignorowania głosu zaprzyjaźnionych mocarstw oraz danych przez nas zobowiązań. Wywiązała się dyskusja.

Imieniem Klubu Socjalistycznego oświadczył poseł Niedziałkowski, że stronnictwo jego nie może się oświadczyć za przedłożonym przez Rząd projektem, ponieważ uważa go za niedostateczny i samo przedstawia i składa w ręce przewodniczącego swój projekt samorządu dla tej części Polski, oparty na autonomii terytorialnej. — Po nim zabrał głos reprezentant Wyzwolenia, który także uznał projekt rządowy za niedostateczny, ponieważ powinniśmy pójść dalej i dać prawdziwy samorząd. — Reprezentant demokracji chrześcijańskiej Czerniewski oświadczył się z innych znowu względów również przeciw przedłożeniu rządowemu, jako w ogóle niepotrzebnemu. — Poseł Głąbiński w imieniu Związku Ludowo-Narodowego przemawiał dłużej przeciw projektowi, jako niepotrzebnemu, bo lepiej się na przyszłość nie krępować. Jego zdaniem zobowiązania dawane mocarstwom w kwestii Wschodniej Małopolski nie obowiązują nas, bośmy je dali w ciężkich chwilach, niejako pod przymusem. Obecnie zaś jesteśmy po zwycięskiej wojnie ze Sowietami, mamy ustaloną z nimi w Rydze granicę wschodnią, która nie kwestionuje Wschodniej Małopolski. Rzecz jest załatwiona i nie potrzebujemy się na nikogo oglądać. Samorząd wstrzymałby tylko proces polonizowania się Rusinów i przeszkodził zlaniu się zupełnemu tego kraju z Polską. Rozumie się, że jest jeszcze bardziej przeciwny projektowi

terytorialnemu socjalistów. — Skulski był na Komisji, jednak nie zabierał głosu. — Zabrał natomiast głos ks. arcybiskup Teodorowicz, który nadszedł w trakcie posiedzenia i przysłuchiwał się dyskusji. Ks. arcybiskup podzielił stanowisko Rządu, że jest polityczną koniecznością sparaliżowanie zastrzeżenia niektórych mocarstw nadaniem Wschodniej Małopolsce samorządu i okazanie w ten sposób dobrej woli wobec Rusinów. Krok ten sparaliżuje również zabiegi Petruszewycza. Arcybiskup uważa projekt Rządu za trafny, poleca go Komisji do zasadniczego przyjęcia, z tym, że może on w ewentualnej Podkomisji ulec pewnym zmianom, o ile się okaże tego potrzeba. Przemówienie i stanowisko ks. arcybiskupa wywarło na Komisji duże wrażenie. — Przemawiał po nim ktoś z ludowców, zdaje mi się poseł Kiernik, za projektem, po czym zabrał głos poseł Głąbiński, opuszczając poprzednie swoje stanowisko i zaznaczając, że gotów wreszcie wejść w dyskusję nad przedłożeniem rządowym pod warunkiem, że projekt będzie zawierał nie tylko postanowienia dotyczące samorządu trzech województw Wschodniej Małopolski, ale także i takie, które by określały granice samorządu wojewódzkiego w całej Polsce. — Odparłem, że rozumie się, że tak by było najlepiej, gdyby to było możliwe. Rząd począł opracowywać zarysy samorządu wojewódzkiego w ogóle, ale przekonał się, że na to trzeba co najmniej pół roku i to przy pilnej, wytężonej pracy, nie jest to bowiem prosta rzecz. My zaś mieliśmy nie więcej jak cztery tygodnie czasu. Nie mogąc inaczej, przychodzimy z projektem na razie częściowym, ze względów politycznych koniecznym, który nie może czekać, bo wy-

bory na karku. Zwróciłem się do ks. arcybiskupa Teodorowicza podnosząc, że on jeden z pomiędzy przemawiających potrafił stanąć wyżej i objąć szerszy horyzont, dojrzał też trafnie konieczność uchwalenia samorządu wojewódzkiego dla Wschodniej Małopolski i niebezpieczeństwa, jakieby wypływały z zaniechania tego. Potem przekazano projekt Podkomisji złożonej z kilku posłów, a referentem wybrano posła prof. Halbana. Poseł Głąbiński zgłosił przedstawienie Komisji swojego projektu, obejmującego zarys ogólnego samorządu wojewódzkiego.

Podkomisja obradowała przez dwa dni i opracowała projekt, który był projektem rządowym, do którego przyjęto niektóre punkty z projektu Głąbińskiego, dotyczące ogólnych norm samorządu wojewódzkiego. W pracach Komisji brał udział ze strony Piastowców Buzek, z Demokracji Chrześcijańskiej poseł Dubanowicz, Czerniewski, z Wyzwolenia Chomiński, ze Związku Ludowo-Narodowego Głąbiński itd. Poseł Halban z nakładem wielkiej pracy i zręczności politycznej uzgadniał opinie i ustępując tu i ówdzie w formie, ratował ile się dało treść. Wreszcie projekt uchwalono, obarczony jednak wielu poprawkami, między którymi była jedna zasadnicza, groźna dla całej sprawy. Posłowie Stronnictwa Ludowego pragnęli mianowicie zachować w nowym projekcie ustęp o szerokiej platformie wyborczej do przedstawicielstwa wojewódzkiego, czego Głąbiński nie chciał. Teza Głąbińskiego utrzymała się w Podkomisji, ale ludowcy zgłosili poprawkę i oświadczyli, że gdyby ich poprawka upadła, to będą głosować na Komisji, a prawdopodobnie i w Sejmie, przeciw projektowi. Sytuacja była

więc dla przedłożenia groźną, bo bez nich projekt nie miałby większości, tym bardziej, że Prawica wcale nie była pewną, w prasie wrzawa przeciw samorządowi nie milkła, a we Lwowie wiecowano w dalszym ciągu.

Następnego dnia po uchwaleniu projektu samorządowego przez Podkomisję, odezwał się u mnie w mieszkaniu (Prezydium Rady Ministrów) w nocy koło godziny 12-tej telefon. Komunikował mi arcybiskup Teodorowicz, że odbyło się posiedzenie klubów Prawicy i że losy projektu się chwieją, albowiem przeważyło zapatrywanie, że w razie przyjęcia wyżej wspomnianej poprawki ludowców należy projekt odrzucić i głosować przeciw. Pojechałem natychmiast do mieszkania ks. arcybiskupa i omówiłem z nim całą rzecz. Nie było innego wyjścia, tylko należało utrzymać w dobrym usposobieniu ludowców, a postarać się, aby ich poprawka przepadła. Nazajutrz odbyło się posiedzenie Komisji konstytucyjnej celem rozpatrzenia projektu Podkomisji. Byłem w Sejmie już na godzinę przed posiedzeniem i konferowałem z posłami, przygotowując platformę do dyskusji i głosowania w Komisji. Chodziło o to, aby przepadły wszystkie poprawki Wyzwolenia, aby przepadła poprawka ludowców, o której wyżej wspomniałem, a także aby przepadły niektóre poprawki Prawicy. Ludowców nie mogłem oczywiście namawiać, aby się przyczynili do przepadnięcia ich własnej poprawki. Nawet nic o tym nie wspominałem, że pracuję nad jej przepadnięciem. Ale skoro miałem już zapewnioną większość przeciw poprawce, starałem się uzyskać u nich to, aby z przepadnięcia swej poprawki nie wyciągali ostatecznych konsekwencji. — Na Komisji przepadły wszyst-

kie poprawki Wyzwolenia. Przepadła też poprawka Piastowców i projekt Podkomisji został przyjęty znaczną większością głosów, między tymi i głosami Piastowców, którzy wprawdzie zgłosili swoje poprawki na plenum Sejmu, ale raczej już tylko formalnie.

Narutowicz nie bardzo był zadowolony z projektu, żałował zmian i sądził, że będzie miał trudności z mocarstwami, głównie z Anglią, która otrzymała projekt rządowy pierwotny i uważała go za zbyt chudy. Każda zmiana *in minus* może wywołać niezadowolenie z jej strony. Co do Askenazego, to ten, choć bardzo gorąco parł do odłożenia wyborów, łatwo pogodził się ze stanem rzeczy, skoro wybory jednak zostały rozpisane, i pojechał do Genewy.

Przedłożenie projektu samorządowego zostało wyznaczone na ostatnie posiedzenie sejmowe. W toku posiedzenia zaszły jednak fakty dla przedłożenia niebezpieczne, które mogły całą rzecz zepsuć. Mianowicie na przemowę posła Radziszewskiego po przedłożeniu Sejmowi planu pożyczki złotej, która to przemowa dotknęła min. Jastrzębskiego, ten odpowiedział energicznie i ostro Radziszewskiemu i zaatakował Prawicę. Podrażniło to silnie prawą stronę Izby i wywołało dość namiętną dyskusję z obu stron. Wprawdzie posłowie z Lewicy podchodzili z gratulacjami do Jastrzębskiego z powodu, iż jak twierdzili, Rząd okazał energię i męskość, ale ja byłem zatroskany o losy przedłożenia samorządowego. Gdyby upadło, byłem zdecydowany dymisjonować. Przesilenie tuż przed wyborami mogło mieć bardzo nieprzyjemne i niepożądane następstwa. Żadną jednak miarą nie mógłbym był wziąć na siebie skutków ewentualnego protestu ze strony

mocarstw przeciw przeprowadzeniu wyborów w Małopolsce Wschodniej, bo taki protest przy obecnym tam wrzeniu, podsycanym przez Sowiety oraz przez innych sąsiadów i przy silnej akcji Petruszewycza, która przez taki protest byłaby doznała znakomitego poparcia — mógł mieć skutki wprost nieobliczalne. Dodać muszę, że posłowie państw koalicyjnych bardzo się interesowali całą sprawą i nie spuszczali jej z oka.

Wreszcie przyszło na porządek obrad przedłożenie samorządowe. Referował poseł Halban. Przemawiali: Głąbiński, Buzek, a także przedstawiciel Wyzwolenia poseł Chomiński, któremu przerywała gęsto Prawica i doprowadzała go do coraz większego zdenerwowania. Gdy skończył, przemawiałem jeszcze ja z apelem do Izby o przyjęcie przedłożenia. W Sejmie rozeszła się pogłoska, że przy tej okazji wypowiem mowę polityczną. Nie przeczyłem temu, bo pragnąłem, aby dyskusja nad przedłożeniem jak najprędzej dobiegła kresu i aby, oczekując spodziewanej debaty politycznej, mniej zwracano uwagi na to, co mówią mowcy na mownicy. Ani mi w głowie było jednak mieć mowę polityczną, która by z natury rzeczy mogła dać pole do dyskusji, mogącej się w rezultacie skończyć niewiadomo czym. Miałem zatem tylko krótką przemowę dotyczącą ściśle sprawy będącej przedmiotem obrad. Przystąpiono do głosowania najpierw nad poprawkami i wtedy jeszcze, w ostatniej chwili, podszedł do mnie poseł Stanisław Grabski, aby mi przedstawić swe wątpliwości co do potrzeby uchwalenia samorządu i z propozycją, czyby nie było lepiej jeszcze teraz, w ostatnim momencie, jednak przedło-

żenie cofnąć. Właśnie widział się z delegacją lwowską, która pod wodzą wiceprezydenta miasta Stahla znajdowała się w korytarzach sejmowych, a przyjechała z protestem przeciw uchwaleniu samorządu. Rozmawiałem z posłem Grabskim, a tymczasem głosowania się rozpoczęły. Poprawki poprzepadały, podobnie jak na Komisji, a więc przepadła i poprawka Piastowców. Potem marszałek poddał pod głosowanie cały projekt, który dużą większością został przyjęty. Głosowali za nim także wszyscy Piastowcy.

Był to moment z pewnością najprzyjemniejszy z całego mojego urzędowania w Warszawie. Byłem pewny, że wybory przeprowadzę spokojnie i że kwestia Wschodniej Małopolski zostanie, może nie formalnie jeszcze, ale rzeczowo, korzystnie dla Polski i to definitywnie rozwiązaną, a w takim razie urzędowanie moje w dawnym namiestnikowskim pałacu nie byłoby bezużyteczne.

Posłowie gratulowali mi sukcesu, ja zaś dziękowałem za pomoc arcybiskupowi Teodorowiczowi, oraz marszałkowi Trąmpczyńskiemu, Ratajowi, Halbanowi, Buzkowi i innym. Zadowolony byłem, że przez to, iż Prawica cała głosowała za projektem, ułatwiłem ludowcom stanowisko wobec przedłożenia. Zadowoleni byli członkowie Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej, a jego prezes, hr. Baworowski, głośno wyrażał swoje zdziwienie, że to tak składnie poszło, bo, jak twierdził, przed dwoma miesiącami mowy o tym być nie mogło i nikt by nawet nie przypuścił możliwości uchwalenia samorządu.

Na drugi dzień byli u mnie reprezentanci mieszczan z Krakowa z posłem de Rossetem, prezesem no-

wozawiązanego Stronnictwa Mieszczańskiego w Warszawie, zamierzającego swą działalność rozszerzyć na całą Polskę. Przyszli w sprawie wyborów sejmowych w Krakowie, ofiarując mi pierwsze miejsce na liście sejmowej mieszczańskiej, przy czym de Rosset powiedział, że nazwisko moje na liście rozstrzyga obecnie w Krakowie o jej losie. Mogę bowiem mieć jeszcze niejedno powodzenie w życiu, ale on sądzi, że właśnie dziś przez sukces w Sejmie ze Wschodnią Małopolską stanąłem u zenitu powodzenia, trzeba przeto, abym rzucił je dla dobra sprawy na szalę wyborów do przyszłego Sejmu.

Naczelnik Piłsudski był z przebiegu i wyniku akcji statutowej bardzo zadowolony i gdym mu zdawał sprawę z ostatecznego rezultatu, rzekł z satysfakcją: „Gratuluję panu".

Uchwalenie przez Sejm Statutu dla Małopolski Wschodniej nastąpiło w samą porę, bo właśnie w Lidze Narodów poczęło się znów objawiać silniejsze zainteresowanie Galicją Wschodnią i zobowiązaniami Polski w tym względzie i Fielding zgłosił tam, tuż przed uchwaleniem Statutu przez nasz Sejm, następujący wniosek: „Zgromadzenie Ligi Narodów ponawia życzenie wyrażone przez drugie Zgromadzenie w dniu 27 września 1921 r., zmierzające do tego, aby Rada Ligi Narodów zwróciła uwagę głównych państw sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych na właściwość uregulowania w najbliższym okresie czasu sytuacji politycznej Galicji Wschodniej". Zgromadzenie Ligi Narodów na podstawie referatu przedstawiciela Kanady, La Pointe'a, przyjęło jednogłośnie i bez dyskusji wniosek Fieldinga, który jednak stał się niebawem,

wskutek uchwalenia Statutu przez Sejm polski, nieaktualnym.

Klub Pracy Konstytucyjnej dał podczas tej sesji bankiet pożegnalny, na którym był dość smutny nastrój. Przewidywano bowiem, że mało kto z obecnych wejdzie do Sejmu czy do Senatu. Ale nie przeczuwałem ani ja, ani może i obecni, że nikt z nich już nie wejdzie ani do Senatu, ani do Sejmu i to, jak się potem okazało, z prawdziwą dla tych ciał i dla sprawy szkodą, gdyż ustąpił z życia sejmowego tak tam niezbędny czynnik umiarkowania i zrównoważenia politycznego oraz wielkiej rutyny i doświadczenia parlamentarnego. Do nowego Sejmu nie wszedł nikt, kto by potrafił tak, jak członkowie tego Klubu, być łącznikiem i pośrednikiem, kto by potrafił godzić i rozbrajać, a nie dzielić i podburzać. Wypadki późniejsze pokazały, jaką szkodą było zniknięcie z Sejmu czynników umiarkowanych i kompromisowych.

Na drugi dzień po zamknięciu Sejmu odbyło się posiedzenie posłów ze Wschodniej Małopolski, na które mnie zaprosili i na którym przedstawili Rządowi ciężkie i niebezpieczne położenie w tej części państwa, wskazując na mnożące się z każdą niemal godziną akty gwałtu, a przede wszystkim liczne podpalania.

Sytuacja stawała się w Małopolsce Wschodniej rzeczywiście z dnia na dzień groźniejszą i wymagała energicznej akcji. Położenie było tam skomplikowane i niezmiernie utrudnione akcją wyborczą. Po pierwsze dlatego, że właśnie akcja wyborcza nie dopuszczała zawieszenia nad tą częścią państwa, jak i w ogóle, stanu wyjątkowego, który z pewnością dałby był w krótkim

czasie możność jej opanowania. Po wtóre dlatego, że wszelkie represje tam zastosowane byłyby użyte na forum międzynarodowym do agitacji przeciw Polsce i przedstawione jako represalia wyborcze przeciw Rusinom. Wskazanym było przeto jak najostrożniejsze postępowanie w tej sprawie i unikanie wszystkiego, co by później mogło zakwestionować prawomocność wyborów przeprowadzonych w Małopolsce Wschodniej. Doszło do mojej wiadomości, że mocarstwa, a szczególniej Anglia, informowana jest dokładnie o każdym kroku władz polskich we Wschodniej Małopolsce, i że na czas wyborów ma tam mieć swoich zaufanych kontrolerów. Jednak bądź co bądź musiało się położyć tamę ruchowi terrorystycznemu, wzmagającemu się na tym terenie pod hasłem nieprzeprowadzania tam wyborów, jako na ziemi nie należącej do Polski.

IV

WYBORY DO SEJMU I DO SENATU

Za główne zadanie mojego Gabinetu uważałem spokojne, legalne przeprowadzenie wyborów, co zapowiedziałem w exposé, gdzie jednak obok zapewnień bezstronności dodałem, że przeprowadzę wybory w interesie Państwa. W interesie Państwa bowiem leżało, aby ludność obu narodowości, tak polskiej jak i ruskiej, mogła w południowo-wschodnich województwach spokojnie i bez obawy wziąć udział w wyborach i oddać swoje głosy. Trzeba było koniecznie osłonić ją przed terrorem polityków siedzących poza granicami Rzeczypospolitej, w Berlinie, w Wiedniu itp., a stojących pod komendą Petruszewycza. Zatem drugim zadaniem gabinetu było przeprowadzenie wyborów w Małopolsce Wschodniej i o ile możności we wschodnich częściach Państwa w duchu państwowym. Szczególnie doniosłą rzeczą było spokojne odbycie się wyborów we Wschodniej Małopolsce. Udaremnienie tam wyborów przez terrorystyczną ruchawkę mogło stan posiadania Polski odnośnie do tej części Państwa już nie tylko zakwestionować, bo właściwie był on już zakwestionowany, ale tak go podkopać, że w konsekwencji mogłoby dojść do utraty tych obszarów. Zatem nieodbycie tam wyborów lub nawet odbycie ich w wy-

jątkowych warunkach, pod grozą bagnetów, mogłoby być łatwo wstępem do utraty tej tak cennej prowincji, bez której Polska po prostu politycznie egzystować by nie mogła. Toteż kwestia ta narzucała się sama przez się, jako najważniejsze, jeżeli nie jedynie zadanie Gabinetu.

Wybory na Kresach wschodnich interesowały w wysokim stopniu Naczelnika Państwa, który odbył ze mną w tej kwestii kilka rozmów. Z rozmów tych wyniosłem wrażenie, że Naczelnika interesują przede wszystkim wybory na Wołyniu, Polesiu i na Wileńszczyźnie i że zna on doskonale ten teren i posiada tam osobiste koneksje i wpływy. Wschodnia Małopolska mniej Naczelnika interesowała i była mu mniej znaną. Mnie zaś znowu przeciwnie, interesowała głównie Małopolska Wschodnia, którą zresztą nieźle poznałem podczas prowadzenia sekcji rolniczej odbudowy kraju we Lwowie podczas wojny. Wołynia, Polesia, Ziemi wileńskiej nie znałem wcale, nigdy tam nie byłem i nic o tych ziemiach bliższego nie wiedziałem. Postanowiłem tedy podzielić się z robotą i stosownie do wyrażonego przezeń życzenia pozostawić Naczelnikowi Piłsudskiemu troskę o korzystne dla Polski przeprowadzenie wyborów na Wołyniu, na Polesiu i na Wileńszczyźnie, które zamierzał poruczyć opiece pp. Prystora i Sławka, swych najbliższych zaufanych, jak się wyrażał. Sam zaś podjąłem się analogicznej pracy we Wschodniej Małopolsce. Naczelnik przyjął tę propozycję i przy współdziałaniu ministrów Jastrzębskiego i Narutowicza oraz swych zaufanych zajął się wyborami na właściwych Kresach czyli na Wołyniu, Polesiu i na Wileńszczyźnie, a ja zająłem się wyłącznie

Małopolską Wschodnią. Jastrzębski i Narutowicz pochodzili obaj z Kresów i mieli tam stosunki, a przynajmniej tak sądzili, przeto obaj tam kandydowali.

Jeżeli mówię o przeprowadzeniu wyborów na Kresach i we Wschodniej Małopolsce, to odnośnie do Kresów chodziło o to, aby do Sejmu weszło z tamtych okolic jak najwięcej Polaków, a inne narodowości o ile możności tylko w osobach przychylnych państwowości polskiej. Odnośnie zaś do Wschodniej Małopolski, to przede wszystkim chodziło o to, aby wybory się odbyły, to jest aby ludność stanęła do głosowania i aby obok Polaków weszli do Sejmu Rusini stojący niedwuznacznie na gruncie państwowości polskiej.

Wkrótce przyszedłem do przekonania, że minister spraw wewnętrznych Kamieński mało zna Małopolskę Wschodnią i tamtejsze stosunki i że tamtejsze władze nie są dosyć sprawnym instrumentem państwowym w jego ręce. Odbywałem zatem w kwestiach wyborczych sam osobiście konferencje z tamtejszymi wojewodami, a mianowicie z Grabowskim, Jurystowskim i Olpińskim oraz z Reinländerem, kierownikiem policji we Lwowie, i z Zawistowskim, który na czas wyborów był rodzajem łącznika między powyższymi wojewodami oraz pomiędzy nimi a Rządem w Warszawie.

Na konferencjach omawialiśmy środki, jakich należy użyć, aby wybory w ogóle się odbyły, aby miały zapewniony spokojny przebieg, oraz aby obok Polaków weszli do Sejmu także Rusini uznający państwowość polską. To ostatnie nie było łatwe do osiągnięcia, bo terroryści grozili śmiercią każdemu Rusinowi,

który by się odważył kandydować do Sejmu warszawskiego, a gróźb dotrzymywali, jak o tym świadczy śmierć Twerdochliba i innych. Przede wszystkim chodziło o stłumienie terrorystycznej ruchawki i tu konieczną okazała się pomoc wojskowa. Policji było w ogóle o wiele za mało, bo właśnie na wiosnę przed wyborami stan jej ze względów oszczędnościowych w całym państwie znacznie zredukowano. Służba wywiadowcza tajna była niedostateczna i źle wynagradzana, a przeto mało użyteczna. Trzeba było nie szczędzić kosztów, aby kadry jej na terenie Wschodniej Małopolski jak najprędzej wzmocnić. Zarządzona też została rekrutacja uzupełniająca policję. To wszystko było mało, bo oprócz terrorystycznych elementów, znajdujących się wewnątrz kraju, przesiąkały przez wschodnią granicę zbrojne bojówki z Sowdepii, a były realne poszlaki, że z południa, z poza granicy czeskosłowackiej, przesiąkają transporty broni oraz emisariusze.

Naczelnik Piłsudski był przeciwny wzmocnieniu stanu wojska we Wschodniej Małopolsce. Sądził, że to, co tam jest, zupełnie wystarczy, a należy uspokojenie przeprowadzić głównie za pomocą policji, oraz za pomocą tajnej służby wywiadowczej. Był zdania, że wojsko niewiele osiągnie, a tylko się zdemoralizuje, będąc kwaterowane po domach. Ja jednak pomocy wojska wyrzec się nie mogłem i za zgodą Naczelnika zostało zarządzone translokowanie do Wschodniej Małopolski dwóch dywizji piechoty oraz dwóch brygad jazdy, wreszcie jednej dywizji samolotów. To musiało być zrobione, ponieważ sytuacja na tamtejszym terenie coraz groźniej się kształtowała. Coraz śmielej

grasowały zbrojne bandy po kraju, siejąc pożogę i mordy. Wyglądało tak, jakby szybko zbliżało się zbrojne powstanie, z pomocą, a potem może i czynną interwencją sąsiadującej zagranicy, przede wszystkim Sowietów.

Ze względu na zagranicę, szczególniej ze względu na mocarstwa reprezentowane w tak zwanej Konferencji Ambasadorów, nie można było w Małopolsce Wschodniej zaprowadzić stanu wyjątkowego; zaprowadzone zatem zostały sądy doraźne. Jednak i tu wyłoniły się trudności. Niejednokrotnie sądy uwalniały zbrodniarzy, mimo że wina ich była oczywistą, a jako powód podawano, że dzieje się to dlatego, iż znaczna ilość sędziów na tym terenie to Rusini, albo sympatyzujący z ruchem terrorystycznym, albo bojący się terrorystów; to ostatnie miało się odnosić i do sędziów Polaków.

Ponieważ sytuacja stawała się z dnia na dzień groźniejszą, a Polska miała tam zbyt wiele do stracenia, przeto zdecydowałem się chwycić środków nadzwyczajnych. Wezwałem generała Stanisława Hallera i dałem mu nadzwyczajne pełnomocnictwa odnośnie do Wschodniej Małopolski, tak wojskowe jak i cywilne. W kwestiach dotyczących utrzymania spokoju w kraju podlegali Hallerowi nie tylko tamtejsi wojskowi dowódzcy okręgów, ale także i wojewodowie. Haller otrzymał polecenie wymierzania zbrodniarzom na zbrodni lub z bronią w ręku przychwyconym, doraźnej sprawiedliwości tam, gdzie nie dopisywały sądy. Zarządzenia powyższe i nadzwyczajne pełnomocnictwa, jakie dałem Hallerowi, były, jak się wnet pokazało, krokiem dobrym i skutecznym, bo niebawem

okazały się już objawy uspokajania się kraju, a bandy coraz rzadziej przesiąkały z za granicy.

W czasie, kiedy terroryzm we Wschodniej Małopolsce wzrastać począł do groźnych objawów, złożył mi wizytę poseł angielski w Warszawie Max Müller i zapytał, czy może zapewnić Rząd swój, że spokój we Wschodniej Małopolsce zostanie utrzymany i czy mogę to zagwarantować. Odpowiedziałem, że za spokój tam ręczę i że może zapewnienie takie swojemu Rządowi przesłać.

Wspomnieć muszę jeszcze o jednym znamiennym epizodzie, który wtedy zaszedł. Pojawiła się mianowicie u mnie deputacja obywatelska ze Wschodniej Małopolski, w której między innymi brali udział ks. Witold Czartoryski, poseł Adam, wiceprezydent Lwowa Stahl i inni. Na konferencję z tą deputacją zaprosiłem ministra Kamieńskiego oraz ministra Sosnkowskiego. Deputacja zapytała, czy prawdą są pogłoski, że istnieje w Warszawie zamiar niełumienia aktów sabotażu i terroryzmu we Wschodniej Małopolsce i dopuszczenia do wybuchu powstania, aby potem wejść z oderwaną od Państwa Małopolską Wschodnią w stosunek federacyjny? Czy prawdą jest, że wojsko otrzymało takie rozkazy? Na to odpowiedział widocznie wzburzony minister Sosnkowski, klasyfikując takie pogłoski jako niegodną i niemądrą insynuację, którą można skwalifikować jako zarzut zdrady stanu. Minister takie podejrzenie odpiera jak najkategoryczniej. Członkowie deputacji zauważyli, że pogłoski nie mówią, że takie zamiary ma Rząd, ale że taka tendencja wychodzi z Belwederu. Na to odrzekłem, że jestem kierownikiem Rządu, odpowiedzial-

nym za to, co się w Państwie dzieje, że także częścią Rządu jest Ministerstwo Wojny, za które również ponoszę odpowiedzialność, a zarazem solidaryzuję się z tym, co powiedział minister spraw wojskowych. Politykę rządową wobec Wschodniej Małopolski znam tylko jednę, to jest tę, którą prowadzi Rząd i którą osobiście kieruję. Drugiego rządu w Państwie nie ma. Wszystkie pogłoski, odbiegające od tego stanu rzeczy, są plotkami, nie mającymi żadnej zgoła podstawy. Zapewniłem członków deputacji, że mogą spokojnie pojechać do domu i zapewnić wszystkich, że spokój we Wschodniej Małopolsce zostanie przywrócony i utrzymany i że zostały przedsięwzięte wszystkie do tego celu potrzebne zarządzenia, które z pewnością odniosą skutek. Deputacja odjechała podniesiona na duchu.

Powierzenie naczelnego kierownictwa zarządzeniami zmierzającymi do uspokojenia Wschodniej Małopolski generałowi St. Hallerowi i danie mu nadzwyczajnych pełnomocnictw okazało się postąpieniem trafnym. Codziennie przez generała Hallera nadsyłane raporty wykazywały postępy w uspokojeniu z dnia na dzień. Bandy rozbijano, rozbójników chwytano i tracono, co pomagało.

Chodziło o to, aby wybory na terenie Małopolski Wschodniej się odbyły, a także aby się odbyły spokojnie. Trudności były tu znaczne, przede wszystkim dlatego, iż wybory miały odbyć się w jednym dniu w całej Polsce i że komisje wyborcze miały funkcjonować prawie w każdej gminie. Cała policja państwowa nie wystarczała, aby — dla utrzymania porządku przy wyborach w Małopolsce Wschodniej i dania gwarancji, że wybory rzeczywiście się odbędą, to jest iż wyborcy

będą mieli możność oddania swych głosów — postawić na tym terenie przy każdej komisji wyborczej przynajmniej po jednym policjancie. Wojska zaś pod żadnym pozorem nie można było rozproszkowywać na małe oddziałki. Wobec tego postanowiliśmy komisje wyborcze asekurować o ile się da policją, a zresztą miejscowymi siłami, np. miejscową policją, strażą polną czy leśną itp., wojsko zaś rozlokować po miastach i miasteczkach większymi oddziałami z tym, że oddziały takie mają w okolicy patrolować i czynić rekonesanse. Gdzie były częste pożary, a nie można było wyśledzić sprawców, co z natury rzeczy było regułą, tam umieszczano we wsiach na postój oddziały jazdy, co miało skutek doskonały, gdyż w okolicy takiej podpalania z punktu ustawały.

Rozmaite były zdania co do tego, jak się zachowa ludność ruska wobec wyborów. Czy pójdzie do urny, czy też wstrzyma się od głosowania? Wątpliwości te usunęła odezwa wydana do ludności ruskiej przez Petruszewycza, a nakazująca wstrzymanie się od głosowania, którą powitałem jako krok dla Polski korzystny, albowiem miałem nadzieję, że uda mi się nakłonić bardzo znaczną część ludności ruskiej do głosowania i zasłonić ją przed terrorem Petruszewycza, oraz że uda mi się wprowadzić do Sejmu Rusinów, choć niewielu, ale Rusinów rzeczywistych i stojących z własnej woli na gruncie państwowości polskiej. Gdyby Petruszewycz był zalecił ludności ruskiej branie udziału w wyborach, a nie ogłosił abstynencji i gdyby był wysunął własnych kandydatów, to mogło się zdarzyć, że ze Wschodniej Małopolski mogło wejść do Sejmu nawet kilkudziesięciu Rusinów, głównie może dawnych

posłów do Sejmu we Lwowie i do Parlamentu w Wiedniu, wyszkolonych w taktyce parlamentarnej. Mogli oni w Sejmie warszawskim razem z mniejszościami narodowymi odegrać ważną rolę, co do której nasuwały mi się wątpliwości, czy byłaby ona dla państwa polskiego korzystną. Mogli także, gdyby wyszli w znaczniejszej liczbie z wyborów, będąc dla państwowości polskiej źle usposobieni, albo do Sejmu wcale nie wstępować, albo złożywszy w nim protestującą „zajawę" z niego wystąpić i zgromadzić się we Lwowie jako własny sejm ruski dla Wschodniej Małopolski. Sądzę, że z takim stanem rzeczy byłaby sobie Polska poradziła, ale mogło to grozić nie dającymi się naprzód ocenić komplikacjami i trudnościami. Te obawy usunął Petruszewycz, ogłaszając manifest polecający wstrzymanie się od wyborów, a w ten sposób Rząd polski otrzymywał w tej kwestii wolną rękę.

Zadanie Rządu polskiego było po manifeście Petruszewycza proste: nie dopuścić do zbojkotowania wyborów i postarać się, aby jak największa ilość ludności ruskiej głosowała, oraz aby weszło do Sejmu kilku, czy kilkunastu Rusinów takich, którzy staną na gruncie państwowości polskiej. W tym też kierunku otrzymali instrukcje wojewodowie, a wykonania poleceń dopilnowywałem przez specjalnych zaufanych urzędników w tym celu wysłanych do Lwowa. Tymi specjalnymi delegatami Rządu do Lwowa w sprawie akcji wyborczej na terenie Wschodniej Małopolski byli dr Kozubski i dr Łoś. Obaj świetnie się ze swego zadania wywiązali, równie jak tamtejsi ówcześni wojewodowie.

Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że nie dużo

da się osiągnąć wpływami urzędowymi. Trzeba było działać także wpływami politycznymi, a do tego nadawało się, jeśli już nie wyłącznie, to w każdym razie głównie stronnictwo ludowe — Piast. Pracowało ono już dość dawno, najpierw drogą Kółek Rolniczych, potem drogą Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego, na terenie Małopolski Wschodniej i nie tylko potrafiło skupić włościanina polskiego koło Okręgowych Towarzystw Rolniczych i Kółek Rolniczych, ale sprawiło, że do tej organizacji, a co zatem idzie i do prowadzących ją ludzi, nabrał zaufania także włościanin ruski. Zatem przez Małopolskie Towarzystwo Rolnicze i przez Piasta można było trafić do chłopa ruskiego. Droga ta okazała się trafną i znaczny udział ruskiego włościanina w wyborach, a o to głównie chodziło, należy zawdzięczać w wielkiej części powyższej organizacji.

Nie usiłowałem trafić do inteligencji ruskiej, bo ta albo sympatyzowała z Petruszewyczem i szła ślepo za jego wskazówkami, albo też bała się Petruszewycza i jego terrorystów. Rozumie się, że były i wyjątki od tej reguły. Byli u mnie wprawdzie tak zwani starorusini, ofiarując swoją lojalność, ale ówczesne informacje oficjalne stwierdzały jednozgodnie, że nie mają oni żadnego wpływu i są elementem nic nie znaczącym.

W każdym razie w okresie poprzedzającym wybory nie obyło się bez dramatycznych wstrząśnień. Wielkie wrażenie wywarło tak na Polakach jak i na Rusinach zamordowanie Twerdochliba, literata i patrioty ruskiego, który był kandydatem na posła. Za tym morderstwem poszły inne. Padł postrach na tych

Rusinów, co mieli mimo pogróżki Petruszewycza zamiar wziąć udział w wyborach, a jeszcze bardziej na tych, którzy do Sejmu kandydowali, tak że były obawy, czy jednak mimo wszystko nie spotka nas odnośnie do akcji wyborczej zawód. Trzeba było skłonić kandydatów i więcej prononsowanych, ugodowych polityków, aby się przenieśli gdzieś, gdzieby mogli być bezpieczni. Bawiło też kilku z nich przez czas krytyczny w Warszawie lub koło Warszawy, a także i w Poznańskim.

Tymczasem na terenie międzynarodowym zaszły nadzwyczaj doniosłe wydarzenia. Lloyd George z powodu swej namiętnej, nie liczącej się z niczym polityki i niepowodzeń na Wschodzie upadł, a z wyborów wyszedł konserwatywny Rząd Bonar Lawa. Zniknął więc na razie z widowni politycznej nie wróg Polski, bo na to nie mamy dowodów, ale człowiek o niesłychanym wpływie, który do Polski zdawał się nie przywiązywać wagi. Uważał ją za coś nietrwałego, z czym nie warto się liczyć, wskutek czego wyrządził Polsce niejedną trudną do naprawienia krzywdę. Na jego miejsce przyszli teraz do władzy ludzie o innym światopoglądzie i dla młodej Polski względniejsi. Równocześnie wzrósł też bardzo wpływ naprawdę i głęboko przychylnej nam Francji, a sympatia Włoch zaczęła się coraz wyraźniej przechylać w stronę Polski. Mieliśmy przeto obecnie życzliwą neutralność Anglii i silne oparcie o francuskiego przyjaciela i sojusznika, oraz życzliwość Włoch. Toteż ta zmiana międzynarodowej dekoracji dała się odczuć już w Lidze Narodów na jej wrześniowej sesji i to również w kwestii Małopolski Wschodniej. Mieliśmy zapewnienie ze strony

Włoch o ich życzliwym dla nas usposobieniu odnośnie do sprawy Wschodniej Małopolski i jej przynależności do Polski, a dyplomacja nasza powiadomiła mnie poufnie, że w Londynie Ministerstwo Spraw Zagranicznych rozesłało po biurach okólnik zabraniający przyjmować Petruszewycza, jak również zakazujący przyjmować jakichkolwiek pism od niego pochodzących. Petruszewycz był wtedy w Londynie i zabiegał usilnie, jednak bez żadnego rezultatu. Dochodziły mnie słuchy przez osoby trzecie, że emigranci ruscy, przebywający w Berlinie, gotowi by byli do rozpoczęcia układów z Rządem polskim celem wyszukania *modus vivendi*. Zająłem w tej sprawie stanowisko wyczekujące i pozostawiłem inicjatywę Rusinom.

Nareszcie wybory do Sejmu się odbyły i to wbrew wielu psymistycznym przewidywaniom w całym państwie spokojnie i bez zamieszek. Dzień wyborów przeżyłem jednak w niezwykłym napięciu nerwów i wielką była moja radość, gdy z terenu Małopolski Wschodniej zaczęły przychodzić wiadomości, że wybory się odbyły, że się odbyły spokojnie i na ogół z dużym udziałem ludności ruskiej. Że do Sejmu wchodzi, jak początkowo donoszono, pięciu, potem siedmiu Rusinów, stojących na gruncie państwowości polskiej, tak zwanych „Chliborobów".

Niebawem miałem sposobność poznać nowowybranych posłów ruskich, zjawili się bowiem u mnie w deputacji, jako reprezentanci Rusinów Wschodniej Małopolski.

Petruszewycz przegrał na całej linii. Przeliczył się. Berlin okazał się jako podstawa jego działania nie wy-

starczający, a Lloyd George upadł dla Petruszewycza bardzo nie w porę.

Bylibyśmy popełnili kapitalny błąd, odkładając wybory, bo nieprędko doczekalibyśmy się takiego, sprzyjającego wyborom w Małopolsce Wschodniej tła międzynarodowego, jakieśmy mieli po upadku Lloyda George'a. Co prawda, Bóg nam sprzyjał, ale i my nie zaniedbaliśmy tego, co do nas należało, to jest zgnietliśmy terror, zabezpieczyliśmy wolność głosowania, a zarazem daliśmy samorząd, zapewniający ruskim obywatelom kraju w ramach Państwa polskiego swobodny rozwój narodowy i kulturalny. Sprawdziło się zatem jeszcze raz przysłowie: „Myśl o sobie, a Pan Bóg ci dopomoże".

Skoro mocarstwa skoalizowane otrzymały Statut dla Małopolski Wschodniej, nie taki wprawdzie, jakiego żądały dawniej, ale z którym się jednak pogodziły i skoro wybory w tej części Państwa zostały przeprowadzone stosownie do ich życzeń, to jest legalnie, z udziałem przeszło 60 procent ludności w głosowaniu i skoro zostali tam wybrani także Rusini oświadczający, że stoją na gruncie państwowości polskiej — spełniono warunki, stawiane przez Koalicję. Wobec ustalenia między Polską a Sowietami granicy między obu państwami, nic już nie stało na przeszkodzie uznaniu przez Koalicję granic wschodnich Polski, czyli przyznaniu Polsce bez zastrzeżeń Galicji Wschodniej. Natychmiast przeto rozpocząłem starania o uzyskanie uznania tychże granic przez Koalicję, co zdawało się nie nastręczać trudności, gdy i Francja i Włochy były temu przychylne, a Anglia, rządzona wówczas przez konserwatystów, nie była takiemu ostatecznemu

ustaleniu granic Polski oporną. Otrzymałem też wiadomości z Paryża, że Rada Ambasadorów niebawem się zbierze i tego rodzaju uchwałę poweźmie.

Niespodziewanie zaszły jednak tragiczne wypadki, które wstrząsnęły wiązaniami młodego państwa i sprawiły, że starania te mogły być doprowadzone do pomyślnego rezultatu dopiero przez Gabinet generała Władysława Sikorskiego.

Smutniejsze, niż z Małopolski Wschodniej, przyszły wieści z Kresów. Tam żywioł polski doznał porażki, miejscami ciężkiej, jak np. na Wołyniu, gdzie nie przeszedł ani jeden Polak. Przyczyna tego leżała częściowo niewątpliwie w niedostateczności propagandy wyborczej ze strony polskiej, a może i w zbyt optymistycznym ocenianiu stanu rzeczy na Kresach, ale przede wszystkim w zupełnym niemal braku polskiego aparatu administracyjnego. Było rzeczą wiadomą, że Niemcy rzuciły różnymi drogami wielkie kwoty pieniężne na Kresy, celem przeszkodzenia Polakom w akcji wyborczej, a dopomożenia do wejścia do Sejmu innym narodowościom. Szły także pieniądze i to znaczne z Sowdepii. Główną jednak przyczyną była słaba maszyna administracyjna na Kresach, a raczej właściwie zupełny niemal brak administracji tamże, bo tego, co tam wówczas było, nie można nawet nazwać administracją.

V

WYBÓR I ZAPRZYSIĘŻENIE PIERWSZEGO PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Kiedy tylko wybory się skończyły i był znany ich wynik, od razu było rzeczą wiadomą, że wybór prezydenta Rzeczypospolitej napotka na wielkie trudności, bo staną w Zgromadzeniu Narodowym naprzeciw siebie dwa zupełnie równe obozy polskie, a obok nich mniejszości narodowe. Było jasne, że bez większości stałej rządzić nie będzie można, albowiem zadania Sejmu będą tak trudne i doniosłe, że o załatwieniu ich różnymi większościami, od przypadku do przypadku, mowy być nie może, ale jasnym było także i to, że powstanie takiej większości jest nadzwyczaj trudne. Większość stałą mogły dać tylko Prawica i Piast, oba ugrupowania złożone w większości swej z ludzi umiarkowanych raczej i o poglądach konserwatywnych, lecz oba operujące hasłami demagogicznymi, a przez to mocno w swobodzie ruchów skrępowane. Prawicę i Piasta dzieliły poniekąd socjalne dążenia klasowe, chociaż te, nie podsycane, dałyby się wyrównać, przynajmniej w ogólniejszych zarysach. Przeszkodą były również wymyślania Prawicy na Piasta i nagonki w prasie i w Sejmie à la Dojlidy itp.

Byłem zdecydowany, jak to jest ogólnym zwycza-

jem parlamentarnym, wnieść dymisję gabinetu na ręce nowoobranego prezydenta Rzeczypospolitej. Zaś co do ewentualnego pozostania nadal przy sterze rządów, to mogłaby o tym chyba być mowa, gdyby się stworzyła silna większość, na której można by oprzeć rządy ugruntowane na podstawie pewnej, na jasnym i stałym programie, a nie, jak zawsze dotychczas, jedynie na hasłach. Rząd, któremu przewodniczyłem, miał zadanie, a przez to i żywot określony: przeprowadzenie wyborów i zdobycie wyborami Wschodniej Małopolski. Wybory przeszły spokojnie i poważnie, bez żadnych zgoła zamieszek. Wschodnia Małopolska zadokumentowała wyborami, że jest częścią państwa polskiego. Rząd zadanie swoje spełnił i treść swojego bytu wyczerpał, a zatem winien ustąpić.

Wspomnieć muszę jeszcze o niektórych znaczących epizodach z okresu moich rządów. Znaczącą i interesującą była wizyta Cziczerina, ministra spraw zewnętrznych Sowietów. Cziczerin złożył mi wizytę, przy której był obecnym, oprócz nas dwóch, także poseł sowiecki w Warszawie. Dziwnym mi się wydawało, że Cziczerin, wyrobiony i utalentowany dyplomata, od razu, bez żadnego wstępu, wyłożył powód swojej wizyty. Żądał mianowicie, aby w razie, jeżeli Rumunia wyszle swoje wojska nad Bosfor, Polska nie zasłoniła w takim wypadku Rumunii i nie broniła jej przed Sowietami. Dałem odpowiedź wskazującą na nasz sojusz z Rumunią i zdziwiłem się, że Sowiety interesują się Bosforem. Cziczerin odparł, że muszą się interesować, bo są w przymierzu z Turcją, a wojna nad Bosforem może się rozszerzyć na całą Europę. Cziczerin zaznaczył następnie, że Sowiety pragną żyć

w pokoju z Polską i nawiązać z nią stosunki handlowe, że Polska i Sowiety mają bardzo wiele wspólnych interesów i dobre stosunki dla obu państw będą pożyteczne. Odparłem, że gorąco tego pragniemy, że jesteśmy ożywieni szczerym dążeniem do pokoju, że sąsiedztwo skazuje nas na ciągłą styczność ekonomiczną i że możemy sobie na tym polu nawzajem wielkie oddawać usługi, że jednakże Sowiety jako wstęp do tych dobrych stosunków muszą okazać więcej dobrej woli przy wykonywaniu traktatu ryskiego. A ciągle są w najdrobniejszych rzeczach trudności i trudno tu się dopatrzeć dobrej woli. Cziczerin odparł, że trzeba być cierpliwym i że z pewnością Sowiety wypełnią ściśle wszystkie punkty pokoju, ale mają wielkie trudności; nie brak im natomiast dobrej woli, którą zadokumentują. Rozmawialiśmy po francusku. Zapytałem Cziczerina, czy nie zechce mówić po polsku, bo przecież jest krewnym hrabiów Czapskich w Krakowie i Kraków i język polski napewno zna. Cziczerin odparł, że po polsku umie, ale nie mówi tak poprawnie, żeby się nie żenował w tym języku prowadzić konwersacji. W Krakowie był nawet dłużej i ma miłe ze swego tam pobytu wspomnienia. Cziczerin zaprosił mnie na obiad, jednak z powodu niedyspozycji na obiedzie być nie mogłem, był natomiast Narutowicz.

Zaraz na drugi dzień po Cziczerinie odwiedził mnie poseł angielski Max Mueller. Zaczął od tego samego, co Cziczerin, ale z innego końca. Żądał mianowicie, aby na wypadek, gdyby Rumunia musiała wysłać wojska nad Bosfor, Polska osłoniła ją przed Sowietami. Odrzekłem, że najlepiej by było, aby Rumunia nie wysyłała wojska nad Bosfor, bo to może

mieć nieobliczalne następstwa na Bałkanie. Polska ma układy z Rumunią i stanie na platformie tychże układów, a rozumie się, że oprócz tego drogowskazem będzie dla nas nasz państwowy interes. Dałem wyraz nadziei, że Rząd angielski dołoży wszelkich starań, aby spory nad Bosforem zlokalizować i nie dopuścić, by się stały zarzewiem szerszych niepokojów, a nikt inny nie może mieć na to takiego wpływu, jak właśnie Anglia.

Nie mam zamiaru pisania wyczerpującej historii choćby tylko tych paru miesięcy, które spędziłem przy rządach w Warszawie, dlatego też nie wspominam o wielu ważnych i doniosłych rzeczach, jak np. o trudnościach na Górnym Śląsku, o trudnościach gdańskich itp. Chciałem tylko oświetlić te sprawy, w których osobiście tak przeważny brałem udział, że opisanie ich choć szkicowe, właśnie przeze mnie, da do ujęcia ich pewną i niewątpliwą podstawę.

O jednej rzeczy choć mimochodem wspomnieć pragnę, a mianowicie o stosunku przedstawicieli zagranicy do Rządu polskiego, jaki zastałem. Gdym mianowicie objął prezydenturę gabinetu, spostrzegłem niebawem, że posłowie państw obcych w Warszawie mają z Rządem polskim tylko niemal wyłącznie urzędową styczność i że nie ma żadnego kontaktu towarzyskiego. Uważałem to za rzecz niekorzystną i politycznie szkodliwą. Nie jest bowiem rzeczą dobrą, aby tworzyli oni koło zamknięte w sobie i z sobą wyłącznie żyjące, a prywatne ich znajomości, jakie mieli sposobność tu i ówdzie w kołach polskich pozawierać, były rekompensatą niedostateczną. Żyjąc z dala od sfer rządzących i stykając się z nimi tylko

na gruncie politycznym, mogli łatwo stawać się usposobionymi zbyt krytycznie i nieufnie. Należało ich do siebie przyciągnąć, żyć z nimi, wejść w obręb ich koła. Skłoniłem przeto żonę moją do przyjazdu do Warszawy i zamieszkania w pałacu prezydenta Rady Ministrów. Otwarliśmy dom wielkim rautem, który miał powodzenie, a potem daliśmy długi szereg przyjęć, na których mieszaliśmy reprezentantów państw tak cywilnych jak i wojskowych z Polakami rozmaitych sfer, tak, aby mogły nawiązać się rozległe stosunki między owymi obcymi a społeczeństwem polskim w szerokim tego słowa znaczeniu oraz z przedstawicielami Rządu. Nawzajem bywaliśmy bardzo często na przyjęciach dawanych dla nas przez posłów i wkrótce wyrobiły się stosunki bardzo serdeczne, a w dniu przyjęć mojej żony salony pałacu były przepełnione. Prawie w każdym z tych przyjęć, a były dwa na miesiąc, brali udział wszyscy niemal przedstawiciele świata dyplomatycznego zagranicznego, również jak i wojskowego. Łaskawe były także koła warszawskie, a nie omijali pałacu prezydenta ministrów także i znajomi przyjeżdżający do Warszawy, czy to z Krakowa, czy ze Lwowa, czy z Poznania lub z Wilna. Powstawał powoli w Warszawie salon, który począł jednoczyć obcych i swoich, co uważałem za rzecz mogącą politycznie duże mieć znaczenie. Kosztowało to żonę moją niemało trudu i zapobiegliwości towarzyskiej, ale nagroda leżała w powodzeniu rzeczy. Pożegnanie też nasze z ciałem dyplomatycznym niezwykle było serdeczne, również jak ze wszystkimi znajomymi w Warszawie.

Jak już zaznaczyłem powyżej, stało się po wybo-

rach rzeczą jasną, że pracować i wytworzyć rząd parlamentarny będzie mógł Sejm tylko pod warunkiem, że stworzy większość, na której rząd będzie się mógł oprzeć. Większości takiej w nowowybranym Sejmie jednak nie było, gdyż oba zwalczające się przy wyborach obozy, to jest tak Prawica jak i Lewica, weszły do ciał ustawodawczych w równej niemal sile. W Zgromadzeniu Narodowym siła liczebna Prawicy wynosiła okrągło 220 głosów, a Lewicy 221. W Sejmie Lewica miała około 20 głosów większości, ale konglomerat ten, składający się z kilku grup, jak z socjalistów, Wyzwolenia, ludowców i Narodowej Partii Robotniczej oraz grupki Okonia, o rozbieżnych poglądach i zasadach, nie był w stanie wytworzyć wspólnego programu pozytywnej pracy, który mógłby być oparciem dla stałego, silnego rządu. Wytworzenie większości w Sejmie na chwilę jego konstytuowania się, a zatem i w Zgromadzeniu Narodowym, było koniecznością państwową z tego powodu, że tylko istnienie skonsolidowanej większości polskiej odbierało mniejszościom narodowym rolę decydowania swoimi głosami o sprawach spornych między dwoma blokami polskimi, to jest między Lewicą a Prawicą. Wskutek tego, że bloki te były liczebnie w Sejmie niemal równe, mniejszości narodowe nabierały specjalnego znaczenia, rozstrzygającego języczka u wagi. Połączenie się przy wyborach Żydów, Niemców, Rosjan i Białorusinów w jeden wspólny blok mniejszości narodowych podrażniło bardzo silnie opinię polską i zdawało się rzeczą jasną, że nie może być mowy o normalnym funkcjonowaniu Sejmu przy zwalczających się prawie równych dwóch obozach polskich, a przy rozstrzyga-

jącym w tych warunkach wpływie bloku mniejszości narodowych. Ten rozstrzygający wpływ mniejszości narodowych wydawał się niepożądanym, a nawet wprost groźnym już w Zgromadzeniu Narodowym przy wyborze prezydenta Rzeczypospolitej, które to obawy potwierdziła tragiczna śmierć ś. p. Narutowicza.

Większość w Sejmie mogłaby powstać przez kooperację Prawicy z ludowcami, jako najbardziej do siebie zbliżonymi formacjami politycznymi. Prawica, wyzbywszy się demagogów, co przy wyborach nie było wcale tak trudno i powściągnąwszy namiętność polityczną pojedynczych nieumiarkowanych osobistości, mogła, zdawało się, stać się ostoją trwałego rządu. Kooperacja ludowców także nie natrafiała w zasadzie na nieprzezwyciężone trudności. Ludowcy zasadniczo są stronnictwem politycznym umiarkowanym. Są umiarkowani społecznie, a radykalni są tylko odnośnie do swych interesów chłopskich, czyli że są jeszcze radykalni stanowo. Jednak dotychczasowe doświadczenie parlamentarne w Polsce pouczyło ich, że od uchwalenia radykalnych reform społecznych, np. reformy rolnej, do ich realnego przeprowadzenia jest daleka droga i że lepiej jest zadowolić się sukcesem mniejszym, ale nie teoretycznym, lecz realnym. Zasadniczo więc współdziałanie Prawicy i Piasta było możliwe. Można także było spodziewać się przyłączenia się Narodowej Partii Robotniczej do tego ugrupowania.

Na ten temat toczyły się liczne i ożywione rozmowy. Przeważało zdanie, że bez większości istnienie Sejmu jest w ogóle zagrożone, zaś przedwczesne roz-

wiązanie Sejmu mogłoby się stać bardzo niebezpieczne ze względu na Wschodnią Małopolskę, w której powtórne wybory, w niedługim przeciągu czasu po pierwszych przedsięwzięte, mogły dać rezultat wielce niepożądany dla Polski.

W rozmowach na pierwszy plan wybijała się kooperacja Piasta i Prawicy, przy której tak porozumienie co do wyboru marszałków Sejmu i Senatu, jak również i co do składu rządu i co do programu politycznego miało nie przedstawiać większych trudności.

Sejm i Senat ukonstytuowały się, a wybór prezydenta miał się odbyć w najbliższą sobotę. Im bliżej było terminu wyboru prezydenta, tym bardziej napiętą była atmosfera. Mimo że chodziły słuchy o naradach między stronnictwami, w szczególności o istniejącym jakoby kontakcie między ludowcami a Prawicą, to jednak sytuacja wcale się nie wyjaśniała i w obiegu były różne kandydatury na prezydenta Rzeczypospolitej. Między innymi była omawiana i moja kandydatura. Znalazła ona szczególnie życzliwe przyjęcie u posłów obcych państw, którzy niejednokrotnie mi to oświadczali, a posłowi angielskiemu Max Muellerowi wydawał się mój wybór na prezydenta Rzeczypospolitej tak pewny, że już z góry mi gratulował, jak się wyrażał, bliskiego przeniesienia się do Belwederu, albo na Zamek. Oficjalnie jednak żadne stronnictwo nie zgłaszało się do mnie z moją kandydaturą; pośrednio tylko się dowiedziałem, że gdyby Piast wysunął moją kandydaturę, to byłaby ona przyjęta życzliwie przez Prawicę. Ja sam odnosiłem się do mojej ewentualnej kandydatury z jak najwyższą niechęcią, widziałem bowiem ówczesną próbkę tego życia zamkniętego

w ramach Belwederu i kierowanego wymaganiami ceremoniału, a przy tym nie widziałem szans pokojowego rozwiązania ówczesnej politycznej sytuacji w wysokim stopniu naprężonej. O kandydaturze Narutowicza wspominano już dawniej, toteż nic nie było w tym dziwnego, że i obecnie się pojawiła. Co do kandydatury Piłsudskiego, za którą stała Lewica, a nie był jej przeciwnym Piast, to nasuwała ona liczne wątpliwości i w dyskusji w tej mierze w prasie prowadzonej coraz jaśniej było widać, że Piłsudski może wyjść z urny tylko głosami tak zwanych mniejszości narodowych, a w najlepszym razie może mieć co najwyżej kilka głosów czysto polskiej większości. Prasa prawicowa skwapliwie wytwarzała opinię, że prezydent, który by wyszedł głosami mniejszości narodowych, nie jest do pomyślenia i prezydentem być nie może.

Stronnictwo socjalistyczne i Wyzwolenie zwróciły się do Piłsudskiego z prośbą, aby postawił swoją kandydaturę, a Piast uchwalił na pełnym posiedzeniu Klubu jednogłośnie kandydaturę Piłsudskiego na prezydenta Rzeczypospolitej.

Pośród takiej atmosfery zwrócił się do mnie Piłsudski z prośbą, abym zaprosił stronnictwa polityczne Sejmu i Senatu do gmachu Prezydium Rady Ministrów w tym celu, aby mógł do nich przemówić i podzielić się z nimi swoimi doświadczeniami, jakie poczynił, będąc Naczelnikiem Państwa przez przeciąg czterech lat. Piłsudski zauważył, że w Belwederze nie ma dość miejsca, aby zaproszonych pomieścić, a Sejm nie stoi do jego dyspozycji. Zgodziłem się na żądanie Naczelnika i zapytałem, czy mogę zaprosić także posłów z Prawicy, co Piłsudski zaakceptował.

Zwróciłem się przeto najpierw do socjalistów i do Wyzwolenia, następnie do Piasta, potem zaś i do posłów z Prawicy. Ci ostatni od razu odrzucili zaproszenie i oświadczyli, że nikt z nich się nie zjawi, a niektórzy z nich byli zdania, że takie przedwyborcze zgromadzenie nie powinno się w ogóle odbywać w gmachu Prezydium Rady Ministrów. Barlicki, prezes Klubu Socjalistycznego w Sejmie, zwrócił się do mnie z prośbą, aby zaczekać jeszcze z decyzją co do terminu zaproszenia na to zgromadzenie, bo on będzie jutro w Belwederze i po rozmowie z Piłsudskim da mi znać, jak sprawa stoi i czy nie zaszły jakie zmiany w decyzji Piłsudskiego. Telefonowałem po dwóch dniach do Barlickiego, lecz nie otrzymałem od niego żadnych informacji, zatem zgłosiłem się sam do Belwederu z zapytaniem, czy Naczelnik trwa dalej w zamiarze przemówienia do posłów, czy więc to zgromadzenie mam zaaranżować. Zarazem zawiadomiłem Piłsudskiego, że z Prawicy nikt nie przyjdzie, a że ludowcy mają zamiar wziąć udział w tym zgromadzeniu. Piłsudski zamiarów nie zmienił i zaproszenia posłów zażądał. Początkowo miały kluby: socjaliści, Wyzwolenie i Piast wysłać tylko po kilku delegatów, ale w rezultacie przyszli na zgromadzenie w dużym komplecie. Narodowa Partia Robotnicza nie dała na zaproszenie żadnej zgoła odpowiedzi, a kluby Prawicy uchwaliły oficjalnie nie wziąć udziału w zgromadzeniu.

Dzień przed mającym się odbyć zgromadzeniem pojawiły się w dziennikach zarzuty ze strony stronnictw żydowskich, że nie zostały zaproszone tak zwane mniejszości narodowe, które nie powinny być pomi-

nięte. Zgłosił się też do mnie poseł Barlicki z żądaniem zaproszenia mniejszości narodowych, a przynajmniej, jeżeli inaczej być nie może, to żeby zaprosić choć dwóch posłów żydowskich, np. Thona i któregoś drugiego. Z takim samym wymaganiem był u mnie i poseł Moraczewski. Odmówiłem obu, motywując odmowę tym, że z powodu odrzucenia wzięcia udziału w zgromadzeniu ze strony posłów z Prawicy, wskutek czego nie może być obecną całość ciał prawodawczych, ograniczę zgromadzenie wyłącznie do tych stronnictw, które postawiły już kandydaturę Piłsudskiego i to mu w Belwederze zakomunikowały, a takimi są socjaliści, Wyzwolenie i Piast. Stosownie do tego stanu rzeczy wysłałem też zaproszenie wyłącznie tylko do powyższych stronnictw. Udałem się jeszcze raz do Belwederu, aby zakomunikować Naczelnikowi Piłsudskiemu zgłoszenie się mniejszości narodowych, a specjalnie Żydów, z chęcią wzięcia udziału w zgromadzeniu, jak również i to, że ich nie zaprosiłem i nie zaproszę, bo ograniczam zaproszenie wyłącznie do wspomnianych trzech klubów, oraz do Narodowej Partii Robotniczej. Piłsudski przyjął to do wiadomości i oświadczył, że nic mu nie zależy na obecności mniejszości narodowych.

Zgromadzenie się odbyło i udział posłów był duży, bo było z pewnością przeszło 120 posłów i wszyscy ministrowie.

Był przygotowany stenograf, ale kancelaria cywilna Naczelnika odrzuciła stenografa, a notowali przemowę Piłsudskiego Car i Łepkowski. Mowa znaną jest ze streszczeń podanych przez dzienniki. Duże

wrażenie na obecnych wywarła część końcowa przemówienia, w której Piłsudski oświadczył uroczyście i stanowczo, że kandydować nie będzie i wyboru bezwarunkowo nie przyjmie.

To oświadczenie końcowe Piłsudskiego było niespodzianką, albowiem nikt nie wiedział, co właściwie powie i sądzono, że to będzie raczej mowa kandydacka, aniżeli zrzeczenie się kandydatury.

Gdy stało się ogólnie wiadomo, że Piłsudski nie kandyduje, zdawało się, że sytuacja się wyjaśniła i że usunęła się najważniejsza przeszkoda w kooperacji Piasta z Prawicą, że zatem większość się utworzy i że ta większość zadecyduje o wyborze prezydenta Rzeczypospolitej. Prawica jednak wysunęła kandydaturę Trąmpczyńskiego, którą stanowczo odrzucił Piast i gdy nadszedł dzień elekcji, sytuacja była zupełnie niejasną, zagmatwaną i nieprzygotowaną. Toteż od razu wysunięto w Zgromadzeniu Narodowym naraz aż pięć kandydatur, a to Baudoin'a de Courtenay, Daszyńskiego, Wojciechowskiego, Narutowicza i Zamoyskiego. Głosowanie trwało od dwunastej w południe do godziny w pół do ósmej wieczorem i przy ostatnim głosowaniu otrzymał Narutowicz większość, złożoną z Lewicy oraz z mniejszości narodowych. Czysto polskich głosów miał Narutowicz mniej niż Zamoyski, około bowiem dwudziestu kartek z Lewicy oddano białych.

Jako prezydent ministrów pojechałem z obydwoma marszałkami zawiadomić o rezultacie głosowania oraz o dokonanym wyborze Narutowicza i zapytać go, czy wybór przyjmuje. Narutowicz stał za biurkiem

w swoim gabinecie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ja zaś naprzeciw niego, mając po prawej ręce marszałka Sejmu Rataja, a po lewej marszałka Senatu Trąmpczyńskiego. Nigdy nie widziałem w twarzy ludzkiej takiego przerażenia, jakie w tym momencie odbijało się w twarzy Narutowicza, gdy relacji mojej wysłuchał i gdy odrzekł, że ugina się przed wolą Zgromadzenia Narodowego i wybór przyjmuje. Marszałek Rataj wyznaczył zaprzysiężenie na godzinę dwunastą w poniedziałek i po złożeniu życzeń Narutowiczowi obaj marszałkowie się oddalili.

Przerażenie, jakie spostrzegłem w twarzy Narutowicza nie było przywidzeniem, które dopiero potem powstało w moim umyśle na tle morderstwa. Zaraz po widzeniu się z Narutowiczem opowiadałem to znajomym, a między innymi Studzińskiemu i Rodichowi w Radzie Ministrów. Mogło się wydawać, że Narutowicz spostrzega poza delegacją naszą, jak potem pisał jeden z dzienników, szczerzącą ku niemu swe puste oczodoły czaszkę śmierci.

Gdy marszałkowie wyszli, pozostałem chwilę sam na sam z Narutowiczem i złożyłem mu moje osobiste życzenia, przy czym ucałowaliśmy się i uściskali jak najserdeczniej. Widziałem, że Narutowicza bardzo to ucieszyło, iż w naszych, tak przyjaznych dotychczas stosunkach, nic nie ulega zmianie.

Niebawem weszli ministrowie. Stanąwszy na ich czele złożyłem w imieniu Gabinetu serdeczne życzenia, podnosząc, że znanym nam jest jego serce pałające miłością Ojczyzny oraz jego czysta jak kryształ dusza. Zapewniłem go, że może zawsze liczyć na na-

sze poparcie i to każdego z nas i zapowiedziałem wręczenie dymisji po objęciu przez niego urzędowania od Naczelnika Państwa. Narutowicz już się był uspokoił, był wzruszony i serdecznie nam dziękował. Do mnie zwrócił się z wyrażeniem nadziei, że liczy na to, że mu nie odmówię dalszej współpracy, o którą się do mnie zwróci. Odrzekłem, że w każdym razie tak jak postanowiłem, wniosę dymisję, a reszta jest rzeczą późniejszą.

Wychodząc z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, napotkaliśmy przeciągający tamtędy silny patrol konnej policji. Rozpoczęły się już bowiem objawy niezadowolenia z wyboru Narutowicza. Narutowicz widocznie o tym wiedział, bo prosił mnie, aby mu pożyczyć aż do chwili przesiedlenia się do Belwederu automobilu krytego z Prezydium Rady Ministrów, bo jego automobil ministerialny zanadto znany jest w mieście.

Co do dymisji Gabinetu, to Naczelnik Piłsudski na jaki tydzień przed zebraniem się Sejmu i Senatu zapytał mnie, czy Gabinet zamierza pozostać przy władzy nadal. Na to odrzekłem, że uważam swoją rolę za spełnioną i wniosę natychmiast swoją i całego Gabinetu dymisję w chwili, gdy prezydent Rzeczypospolitej obejmie urzędowanie. To moje oświadczenie widocznie Piłsudskiego ucieszyło. Odrzekł, że to bardzo dobrze, że to moje postanowienie sytuację bardzo ułatwia i że okoliczność, iż nie zamierzamy się władzy trzymać, nas umacnia. Zapewniłem Naczelnika, że przeprowadziwszy wybory, co było moim zadaniem, pragnę odejść. Ponieważ zaś wniesienie dy-

misji nastąpi po zgromadzeniu się i ukonstytuowaniu Sejmu i Senatu, a pragnąłbym aby nikt nie miał wątpliwości co do chęci ustąpienia Rządu i zrobienia miejsca gabinetowi, który wyłoni ewentualna większość sejmowa, przeto postanowiłem tę decyzję ogłosić w dziennikach przed zebraniem się Sejmu.

VI

OBJĘCIE WŁADZY PRZEZ PREZYDENTA NARUTOWICZA

Niedziela po wyborze Prezydenta przeszła na ogół spokojnie. Po mieście skupiały się grupy demonstrantów, ale poważniejszych zaburzeń nie było. Posłowie socjalistyczni byli jednak tymi objawami zaniepokojeni i poseł Barlicki telefonował do mnie do Prezydium Rady Ministrów w tej kwestii, a potem już w nocy poseł Daszyński. Zatelefonowałem do ministra spraw wewnętrznych Kamieńskiego i kazałem sobie zdać sprawę z tego, co się w mieście dzieje. Poinformowano mnie, że policja patroluje, że żadnych poważniejszych niepokojów nie ma i że policja nie ma wcale okazji do wkraczania. To mnie nie uspokoiło, poprosiłem przeto ministra Kamieńskiego do siebie. Przybył do mnie do mieszkania w nocy i przedstawił mi sytuację jako nie dającą powodu do jakiegokolwiek zaniepokojenia i zapewnił, że wszelkie prewencyjne zarządzenia zostały wydane. Kiedy znowu telefonicznie zgłosił się do mnie poseł Daszyński w sprawie niepokojów na ulicy Wierzbowej przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych, Kamieński odpowiedział posłowi, że właśnie co tylko tam był i znalazł przed ministerstwem „pięć bab i dziesięciu policjantów".

W Belwederze odbywały się przez niedzielę narady nad ceremoniałem zawiezienia Narutowicza do Sejmu w celu złożenia przysięgi i powrotu z Sejmu. Z powodu niepokojów w stolicy przez niedzielę, jazda ta tam i z powrotem budziła pewną troskę. Narutowicz chciał początkowo jechać do Sejmu z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czemu sprzeciwił się minister Kamieński, albowiem nie miałby w takim razie dostatecznej ilości policji, aby obsadzić nią drogę z Wierzbowej do Sejmu, a następnie z Sejmu do mieszkania Narutowicza w Łazienkach, lub do Belwederu. Objekcje Kamieńskiego uznałem za słuszne i stanęło na tym, że Narutowicz pojedzie do Sejmu ze swego mieszkania w Łazienkach. Późną godziną wieczorem zatelefonował mi z Belwederu szef cywilnej kancelarii Naczelnika Państwa, że ułożono tam, iż ja, jako prezydent ministrów mam przyjechać po Narutowicza do Łazienek i zawieźć go do Sejmu. Zgodziłem się na to. Po upływie jakiej godziny zatelefonowano mi znowu z Belwederu, że Narutowicza będzie konwojował z domu do Sejmu przyboczny pluton szwoleżerów. Na to zauważyłem, że w takim razie nie może on jechać automobilem, lecz powozem, że przeto ja przyjadę do Łazienek automobilem, a pojadę z Narutowiczem do Sejmu powozem.

Decyzja co do towarzyszenia Narutowiczowi w jego przejeździe z Łazienek do Sejmu uległa następnie wskutek decyzji Urzędu Protokołu Dyplomatycznego zmianie w tym kierunku, iż Narutowicza, jako będącego do chwili zaprzysiężenia jeszcze tylko ministrem spraw zagranicznych, przewiezie do Sejmu szef Protokołu hr. Przeździecki, o czym zostałem zawiado-

miony za pośrednictwem wiceministra Studzińskiego, ówczesnego szefa kancelarii Prezydium Rady Ministrów.

Koło godziny w pół do 11-ej nadjechał do Prezydium Minister Kamieński, meldując mi, że wszystko w porządku, że wprawdzie miejscami gromadzi się tłumnie publiczność złożona, jak mu się zdaje, głównie ze studentów i indywiduów młodocianych, że jednak dojazd do Sejmu i komunikacja między mieszkaniem Narutowicza i Sejmem są wolne i niczym nie zagrożone, bo strzeżone przez dostateczny kordon policyjny, wzmocniony silnymi patrolami policji konnej i pieszej. Zażądałem od Kamieńskiego po pierwsze, aby miał w pogotowiu także na wszelki przypadek dostateczną ilość wojska, tak, aby można było w razie potrzeby niezwłocznie użyć siły zbrojnej, a po drugie, aby zarządził natychmiastowe usunięcie gromadzących się poza kordonem policyjnym tłumów tak, aby poza kordonem, z wyjątkiem krążącej normalnie publiczności, nie było żadnego wpadającego w oko liczniejszego gromadzenia się ludności. Minister Kamieński oświadczył mi, że pomoc wojskowa jest zabezpieczona i pogotowie może w każdej chwili być użyte. Na razie nie odwoływał się do pomocy wojska, bo nie zachodziła tego potrzeba, a chciał przy tym uniknąć widoku, że Prezydent Rzeczypospolitej jedzie na akt zaprzysiężenia pod osłoną bagnetów. Następnie zatelefonował Kamieński przy mnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i w mojej obecności wydał rozkaz, aby rozproszono bezzwłocznie tłumy, o ile są zgromadzone poza kordonem policyjnym i nie dopuszczano do tworzenia się zbiegowisk. Rozkaz ministra odebrano

i oświadczono przez telefon, że bezzwłocznie zostanie wykonany. Około godziny w pół do 12-ej wyruszyliśmy do Sejmu, na przedzie w automobilu otwartym Kamieński, a za nim ja. Pojechaliśmy ulicą Mazowiecką i Bracką, przecinając Aleje Jerozolimskie, a potem Piękną na Wiejską do Sejmu. Nigdzie większego nagromadzenia się publiczności nie zauważyłem, dopiero gdyśmy wjeżdżali w Aleje Ujazdowskie, przecinając je od ulicy Pięknej, napotkaliśmy silny kordon policyjny, zabezpieczający dostęp do Alei oraz przejazd przez Aleje i wjazd w ulicę Piękną, który to kordon na narożnikach był wzmocniony silnymi patrolami. Oprócz tego w ulicy Pięknej poza Alejami Ujazdowskimi było kilkunastu policjantów konnych ustawionych we front. Liczba demonstrantów wynosiła tu kilkaset osób, głównie młodzieży i obecna tam policja wystarczała aż nadto do ich usunięcia. Demonstranci przywitali nasze automobile świstem i drwiącymi okrzykami, a ministra Kamieńskiego i jadących z nim urzędników obrzucili śniegiem i jajami. Demonstranci zbrojni byli w kije, którymi potrząsali grożąc. Policja, stojąc na baczność, przypatrywała się demonstrantom i nam z niezamąconym spokojem. Wreszcie przedostaliśmy się do Sejmu i tam oczekiwaliśmy przyjazdu Narutowicza, który się spóźnił i przyjechał po kwadransie na pierwszą. Przyczyną spóźnienia było, jak mi zameldowano to, że w Alejach napotkał pojazd Narutowicza i towarzyszący mu szwoleżerzy barykadę z ławek ogrodowych, którymi Aleje były zamknięte. Dowodzący plutonem oficer tak manewrował koniem, że jego zadem usunął jedną ławkę z barykady i przez tę przerwę przejechała część plu-

tonu poprzedzająca powóz, a następnie pojazd. Wtedy na chwilę pojazd nie miał żadnej osłony z boków i demonstranci dotarli do samego powozu i obrzucili Prezydenta bryłami śniegu, a nawet kamieniami. Zajściu z barykadą z ławek przyglądała się policja, stojąc na baczność zupełnie bezczynnie, jak to stwierdzili naoczni świadkowie. Wreszcie Prezydent w towarzystwie Przeździeckiego, szefa Protokołu, otoczony szwoleżerami dotarł do Sejmu. W Sejmie, na zapytanie marszałka Rataja, czy wybór przyjmuje, silnym, zdecydowanym głosem odrzekł, że przyjmuje i przysięgę złożył.

Po przysiędze odjazd Prezydenta do Belwederu odwlekał się, albowiem nadchodziły wiadomości, że nagromadziły się znaczniejsze tłumy w Alejach Ujazdowskich, które tamują komunikację, oraz że odbywają się duże demonstracje na placu Trzech Krzyży, gdzie nawet padają strzały. Zażądałem od Kamieńskiego, aby użył wojska i porządek przywrócił. Kamieński pojechał osobiście zbadać sytuację, a my, to jest orszak Prezydenta Narutowicza i ministrowie, czekaliśmy wciąż w Sejmie w poczekalni ministrów możności odjazdu. Podczas tego czekania przybiegł do mnie jakiś funkcjonariusz policji donosząc, że jechać Alejami nie można i trzeba powracać inną drogą, bo dzieci szeregiem zagrodziły drogę w Alejach w ten sposób, że klękły na szosie i nie chcą ustąpić. Tu już wzięła mnie pasja. Krzyknąłem, że na dzieci, gdy są nieposłuszne, są wszak trzcinki, ale to przecie nie może być brane poważnie pod uwagę jako przeszkoda i orszak w każdym razie powróci tą samą drogą, którą przybył. Niedługo zgłosił się także generał Rozwadow-

ski z meldunkiem, że wojsko częściowo już wyszło, a częściowo niebawem wyjdzie policji na pomoc.

Wreszcie mogliśmy odjechać. Ja jechałem tuż za Prezydentem Narutowiczem, a za mną wszyscy ministrowie i w ten sposób już bez przeszkody odprowadziliśmy Prezydenta do Belwederu.

VII

ZAMORDOWANIE PREZYDENTA NARUTOWICZA

Niebawem zostałem przez marszałka Rataja zaproszony razem z ministrem Kamieńskim na konferencję Konwentu Seniorów. Radzono nad odezwą, którą miały wydać do ludności z nakazem zachowania spokoju wszystkie stronnictwa sejmowe i wszystkie też miały ją podpisać. Poseł Głąbiński sprzeciwił się, aby odezwę taką miały podpisywać także mniejszości narodowe, specjalnie Żydzi. Sądził, że ponieważ tu chodzi także i o to, aby nie dopuścić do ekscesów antyżydowskich, przeto podpisy żydowskie na odezwie nie są potrzebne, owszem są przeciwwskazane. Poseł Barlicki odmówił podpisania takiej częściowej odezwy i wreszcie stanęło na tym, że pojedyncze kluby same od siebie takie odezwy wystosują. Oświadczyłem, że Rząd poczynił wszelkie potrzebne zarządzenia, aby do rozruchów nie dopuścić i że wojsko zostało już użyte do strzeżenia porządku. Z tego posiedzenia pojechałem prosto do Belwederu, gdzieśmy mieli na życzenie Naczelnika Piłsudskiego odbyć wieczorem o 5-ej posiedzenie Rady Ministrów. Około godziny 6-ej otworzył Piłsudski w jednej ze sal parterowych Radę Ministerialną, w której wzięli udział wszyscy ministrowie, z wyjątkiem Sosnkowskiego, który był nie-

zdrów, a w jego zastępstwie był obecny szef Sztabu, generał Sikorski. Minister sprawiedliwości Makowski przybył do Belwederu znacznie wcześniej, niż reszta ministrów i mówiono, że miał dłuższą naradę z Naczelnikiem. Piłsudski zasiadł na Radzie widocznie wzburzony. Zaczął od tego, że ma wątpliwości konstytucyjno-prawne i żąda, aby Rada Ministrów te jego wątpliwości rozstrzygnęła i odpowiedziała na pytania, które on jej stawia. Pyta mianowicie, czy obecnie, po złożeniu przysięgi przez nowego Prezydenta jest on, Piłsudski, jeszcze Naczelnikiem Państwa i czy przysługują mu prawa należące się Głowie Państwa? Czy Rada Ministrów jest zdania, że obecnie po przysiędze Prezydenta, a przed odebraniem przezeń urzędowania, jest próżnia i nie ma naczelnej władzy w Polsce? Jeżeli Rada Ministrów będzie zdania, że Piłsudski aż do odebrania od niego urzędowania przez nowego Prezydenta jest dalej Głową Państwa, to w takim razie zażąda od Rady Ministrów pewnych specjalnych dla siebie pełnomocnictw, które są konieczne, aby opanować sytuację, bo widzi, że Rząd tego nie potrafi. Dostało się przy tej sposobności ministrowi Kamieńskiemu i jego policji.

Zabrali głos Darowski, Jastrzębski, Łopuszański i oświadczyli, że według ich zdania Piłsudski jest niewątpliwie Naczelnikiem i Głową Państwa aż do chwili objęcia urzędowania przez nowego Prezydenta, ale władza jego ogranicza się tylko do załatwienia nieuchronnych konieczności państwowych, a żadną miarą nie dotyczy jakichś specjalnych upełnomocnień i że według ich zdania objęcie urzędowania przez nowego Prezydenta winno nastąpić jak najprędzej.

Minister Makowski zauważył, że Piłsudski jest niewątpliwie Naczelnikiem i Głową Państwa aż do chwili objęcia urzędowania przez nowego Prezydenta, przy czym przysługuje mu nieuszczuplona ta sama pełnia władzy przez ten czas, co przed wyborem Prezydenta, oddanie zaś władzy Prezydentowi może się przeciągnąć aż do 30 dni po wyborze, bo w konstytucji jest wzmianka, że gdyby Prezydent przez 30 dni nie sprawował swego urzędowania, wtedy marszałek Sejmu zwołuje Zgromadzenie Narodowe i zarządza wybór nowego Prezydenta. Minister Kumaniecki wyjaśnił, że termin trzydziestodniowy odnosi się tylko do nieusprawiedliwionej przerwy w urzędowaniu Prezydenta, co pociąga za sobą wybór nowego. Podniósł, że Naczelnik Państwa aż do chwili oddania urzędowania jest niewątpliwie Naczelnikiem, że jednak oddanie urzędowania winno, według wyraźnego brzmienia konstytucji, odbyć się natychmiast po zaprzysiężeniu.

Piłsudski powstał i rzekł: „Naradźcie się panowie sami, ja idę na górę i za pół godziny zejdę, by się dowiedzieć o waszej decyzji".

Protokół posiedzenia prowadzili na życzenie Piłsudskiego Car oraz Studziński. Po krótkiej naradzie ustaliliśmy zgodnie, że Piłsudski jest Naczelnikiem i Głową Państwa aż do chwili objęcia władzy przez Prezydenta, że jednak pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jego jest przeprowadzić w jak najkrótszym czasie oddanie urzędowania nowemu Prezydentowi.

Rad byłem, iż ta dyskusja się skończyła, a obiecywałem sobie, że uda mi się wyjaśnić sytuację w roz-

mowie sam na sam z Naczelnikiem. Kiedy tedy Piłsudski odszedł, wziąłem Kamieńskiego do przyległego pokoju i nawiązując do tego, o czym mi już wspominał, powiedziałem mu, że jest rzeczą konieczną, aby natychmiast wniósł swoją dymisję, co Kamieński przyjął bez wahania, proponując na swego następcę szefa sekcji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Lenca, ja zaś podniosłem kandydaturę ministra Darowskiego. Poszedłem następnie do Naczelnika na piętro i oświadczyłem, że jakiekolwiek nadzwyczajne pełnomocnictwa są niepotrzebne, bo nie ma do nich żadnej podstawy. Sytuacja jest opanowana, potrzebne zarządzenia wydane, wojsko częściowo wzmocniło, a częściowo zastąpiło policję, która zawiodła. Dochodzenia wykażą dlaczego zawiodła; w każdym razie odpowiedzialny za policję minister spraw wewnętrznych Kamieński zgłosił swoją dymisję i proponuje na swego następcę Lenca, szefa sekcji jego ministerstwa, ja zaś proponuję Darowskiego.

Piłsudski, który się już był zupełnie uspokoił, odrzekł, że to bardzo dobrze, że Kamieński zrezygnował i że woli Lenca, bo Darowski za żywy może, a jeśli jutro będzie spokój, to wystarczy Lenc, jeżeli zaś miałyby być niepokoje, to weźmiemy jutro Darowskiego.

Zeszliśmy na dół na Radę Ministrów. Naczelnik Piłsudski zasiadł zupełnie uspokojony, prawie uśmiechnięty i wysłuchał uchwalonej wyżej wspomnianej opinii Rady co do trwania swojego naczelnikowstwa. Oświadczył, że daje Rządowi 24 godzinną zwłokę i jeśli do wtorku wieczorem nie będzie zupełnego spokoju, to w takim razie zażąda dla siebie tych pełnomocnictw, o których wspominał. W dyskusji Rada

Ministrów oświadczyła się za Darowskim jako ministrem spraw wewnętrznych. Piłsudski to akceptował i polecił sporządzić dekret. Kamieński nie brał już udziału w Radzie.

Ministrowie się rozjechali, pozostaliśmy w Belwederze ja, generał Sikorski oraz Darowski. Ze mną pozostał Studziński. Naradzaliśmy się nad sytuacją. Zażądałem sprowadzenia większej ilości wojska i powiększenia garnizonu Warszawy. Postanowiliśmy sprowadzić natychmiast 9-tą dywizję piechoty z Siedlec. Była to dywizja Sikorskiego, jak twierdził, jedna z najlepszych i mająca dzielnego komendanta, któremu można by powierzyć komendę nad wojskiem w Warszawie. Zostało zadecydowane uruchomienie i rozesłanie po mieście automobili pancernych i ciężarowych z wojskiem i z karabinami maszynowymi oraz wysłanie na miasto licznych i silnych patroli piechoty. oraz skoncentrowanie w pewnych punktach miasta znaczniejszych oddziałów jazdy.

Ma być wydane natychmiast zarządzenie, wzbraniające gromadzenia się publiczności i wszelkie zbiegowiska mają być natychmiast rozpraszane. Wojsko z Siedlec miało według oświadczenia gen. Sikorskiego nadejść do jutra (wtorku) do południa, a do wieczora miała być już w Warszawie cała dywizja.

Rozeszliśmy się około godziny dziewiątej wieczorem, a na odchodnym Piłsudski mi oświadczył, że na życzenie moje celem pożegnania się z ministrami wyznacza godzinę szóstą we wtorek.

Niebawem po powrocie moim do domu otrzymałem telefoniczne zaproszenie od marszałka Rataja do jego mieszkania. Był tam Barlicki, Witos i jeszcze ze

dwóch polityków z Lewicy. Zakomunikowałem zebranym dymisję Kamieńskiego i objęcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przez Darowskiego, co wszyscy z zadowoleniem przyjęli do wiadomości. Zakomunikowałem poczynione zarządzenia oraz sprowadzenie większej ilości wojska do Warszawy. Oświadczyłem, że Rząd stłumi wszelkie objawy niepokoju w zarodku i to stłumi bezwzględnie. Na to odezwał się poseł Barlicki: „My Rządowi pomożemy i staniemy w obronie konstytucji. Jutro mianowicie, to jest we wtorek rano, odbędą się na przedmieściach trzy wielkie zgromadzenia robotnicze, a potem sześćdziesięciotysięczny pochód robotniczy manifestacyjnie wyruszy na ulice Warszawy, opowiadając się za konstytucją. Robotnicy obronili dziś Rząd i konstytucję i jutro robotnicy poprą Rząd w ochronie konstytucji i prawa".

Odrzekłem na to, że nie może być mowy o jakiejkolwiek pomocy dla Rządu ze strony ulicy. Rząd da sobie sam radę doskonale i do pochodu nie dopuści. Jeżelibyśmy tolerowali pochody z jednej strony, to musielibyśmy je tolerować i z drugiej, a wtedy mielibyśmy wojnę domową. Wojsko otrzymało rozkaz niedopuszczenia do zbiegowisk, pochodów i demonstracji i ma w razie oporu bronią wymusić posłuszeństwo. Toteż pochody te nie mogą się odbyć i proszę posła Barlickiego, aby robotników od pochodu powstrzymał. Barlicki odrzekł, że to jest niemożliwe, bo jest proklamowany strajk demonstracyjny na jutro, robotników już po fabrykach nie ma i nie można wydanych rozkazów zmienić. Padło hasło robotnicze: we wtorek strajk, potem zgromadzenia, a wreszcie demonstracyjny pochód do centrum miasta. „Jakto" — mówił po-

seł Barlicki — „to chcielibyście na tych, co chcą bronić konstytucji i porządku, obrócić karabiny maszynowe, a tym innym, burzycielom porządku, ma się nic nie stać?" Ktoś zaproponował, że ci, co się w pochodzie oświadczą za konstytucją, mają być przepuszczeni przez wojsko, a tych, co będą przeciw konstytucji, powinno wojsko rozpędzić. Zauważyłem, że to jest rzeczą niemożliwą. Nie może być takiej dystynkcji, bo to początek anarchii i Rząd nie może pozwolić nikomu demonstrować pod żadnym pozorem i warunkiem. Poparli mnie Rataj i Witos, a niebawem nadszedł Darowski. Gdy mu poseł Barlicki powiedział o zamierzanych meetingach i pochodach, Darowski skoczył na równe nogi, zajmując to samo stanowisko, które ja zająłem. W rezultacie poseł Barlicki przyznał nam rację i polecił jednemu z przyjaciół porozumieć się z Darowskim, tak, aby jutro meetingi zlokalizować i do pochodów nie dopuścić. Około godziny pierwszej w nocy rozeszliśmy się i rozjechali do domów.

W pałacu prezydium zastałem środki ostrożności, a to kompanię wojska i karabiny maszynowe, w mieście spokój i liczne patrole policyjne i wojskowe. Darowski przygotował odezwę do ludności, którą akceptowałem i która miała być nazajutrz rozlepioną po mieście. Minister Darowski prowadził w nocy rokowania z mężem zaufania Stronnictwa Socjalistycznego co do mających mieć miejsce we wtorek zgromadzeń socjalistycznych i pochodu demonstracyjnego. Porozumienie przyszło do skutku nad ranem na tej podstawie, że Rząd ma uważać zgromadzenia, które się mają odbyć na krańcach miasta, jako urzędownie zgłoszone i zezwolone przez władzę, pochód zaś się nie od-

będzie. Socjaliści układu tego dotrzymali i wtorek cały przeminął w zupełnym spokoju. Po mieście snuły się liczne patrole policyjne i wojskowe, a policja w przeciwieństwie do dnia wczorajszego wykazała nawet energię, rozpędzając zebrany tłum przed konsumem robotniczym w Alejach Jerozolimskich i płazując opornych.

Co do demonstracji i strzelaniny na placu Trzech Krzyży w poniedziałek po południu, to osobiście zaburzeń tych nie widziałem i wiem o nich tyle, co z opowiadań, z dzienników i z raportów władz.

Darowski natychmiast po objęciu urzędowania zarządził dochodzenia w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i pozawieszał w urzędowaniu niektórych funkcjonariuszów. Przedsięwziął także pewne zarządzenia i badania, aby wyświetlić tło rozruchów i odszukać winnych.

Naczelnik Państwa Piłsudski wyznaczył posłuchanie celem pożegnania go przez Gabinet na wtorek na godzinę szóstą po południu. Pojechaliśmy przeto wszyscy ministrowie razem z generałem Sosnkowskim, który już był zdrów, do Belwederu i tam w imieniu ministrów wygłosiłem krótkie pożegnanie do Naczelnika, na co Piłsudski krótko odpowiedział, a zwracając się do ministra Sosnkowskiego, powiedział: „Teraz będziemy razem pracować, panie ministrze" — i pożegnał nas ukłonem. Piłsudski polecił mnie jeszcze z powrotem do siebie poprosić, pytał krótko o sytuację w mieście i zapowiedział, że przyjedzie do mnie wieczorem o godzinie 10-ej wraz z szefem Sztabu Sikorskim i polecił mi zaprosić Darowskiego.

Po powrocie od Piłsudskiego odbyła się Rada Mi-

nistrów, na której została omówiona sytuacja w Warszawie i w państwie. Spokój był zupełny, mimo to zdecydowaliśmy nadal utrzymać pogotowie wojskowe i patrolowanie w całej pełni, a garnizon warszawski jeszcze wzmocnić. Dziewiąta dywizja już prawie w całości ściągnęła do Warszawy.

Na Radzie zapytywano ministra Makowskiego, co zamierza zrobić z redaktorem Nowickim, który w „Czerwonym Kurierze" w poniedziałek napisał artykuł pod tytułem „Premier Nowak powiedział niech sobie ulica pohula" i w którym odnośnie do ekscesów poniedziałkowych w zbrodniczy sposób podburzał opinię przeciw Rządowi, a w szczególności przeciw premierowi. Makowski poinformował Radę, że skonfiskował nakład dziennika oraz kazał Nowickiemu wytoczyć proces. Wywiązała się dosyć burzliwa dyskusja, szczególnie, gdy Makowski oświadczył, że proces odbędzie się może za rok, może za półtora, a kara pieniężna będzie może 2.000 Mk., może więcej. To wywołało silne słowa protestu ze strony wielu ministrów, którzy podnosili, że Rząd nie może liczyć na żadną zgoła ochronę ze strony urzędu sprawiedliwości i wydany jest na pastwę niesumiennych dziennikarzy. Skonfiskowano 100, może 500 egzemplarzy pisma, a 5.000 tym bardziej rozchwytano. Żeby taki proces odbył się przynajmniej natychmiast, ale za rok jakąż on może mieć wartość? W tych ciężkich chwilach dawał się bardzo odczuwać brak jakiejś ustawy prasowej, regulującej tę tak ważną dziedzinę życia społecznego i państwowego i zapobiegającej anarchii z tej strony.

Przejęcie przez Prezydenta Narutowicza urzędo-

wania zostało przez Naczelnika wyznaczone na czwartek na godzinę dwunastą w południe. Przy akcie tym spełniali funkcje rządowe z obowiązku Naczelnik Państwa i nowy jego Prezydent, obaj marszałkowie oraz prezydent ministrów. Oprócz tego zaprosił Piłsudski Komitet Polityczny Rady Ministrów, czyli ministra spraw wewnętrznych (Darowski), skarbu (Jastrzębski), oświaty (Kumaniecki), a oprócz tego został zaproszony imiennie przez Naczelnika minister Makowski i minister wojny Sosnkowski.

Narutowicz chciał stan przejściowy na najwyższym urzędzie państwa przedłużyć i miał zamiar odłożyć jeszcze na jaki tydzień objęcie władzy z tego powodu, iż, jak mówił, pragnął być jeszcze ministrem spraw zagranicznych jakiś czas, aby mógł pokończyć pozaczynane niektóre sprawy. Temu się oparłem i czwartek pozostał ustalonym terminem objęcia władzy przez Narutowicza.

Naczelnik Piłsudski przywiązywał wagę do uznania go przez Rząd jako w dalszym ciągu Głowę Państwa aż do chwili oddania władzy i oświadczył, że nominację Darowskiego na ministra spraw wewnętrznych dopiero wtedy podpisze, gdy będzie miał w ręce podpisany przez premiera protokół z poniedziałkowej Rady Ministrów, odbytej w Belwederze, stwierdzający, że jest nadal Naczelnikiem. Protokół ten, zawierający to stwierdzenie, został Naczelnikowi doręczony we wtorek przed południem i dekret dla Darowskiego został podpisany.

O godzinie dziesiątej wieczorem przyjechał Naczelnik Piłsudski i generał Sikorski do gmachu Rady Ministrów, a Darowski był tam już obecny. Zaprosi-

łem wszystkich na górę do prywatnego mieszkania, gdzie zasiedliśmy do lekkiego posiłku, a niebawem przeszli na kawę do saloniku i tam Naczelnik zagaił dyskusję polityczną o ostatnich wypadkach. Podniósł, że mają być podobno niepokoje, a raczej ma być wykonany rodzaj zamachu stanu we czwartek, ewentualnie w sobotę i że byłoby wskazaną rzeczą zamach taki uprzedzić. Wyłaniało się pytanie, o ile te pogłoski były prawdziwe i nasuwały się poważne wątpliwości co do ich ścisłości. Atmosfera polityczna i socjalna z powodu powodzeń Mussoliniego była przesiąknięta faszyzmem, jedni się czegoś od niego spodziewali, inni się go bali, co mogło prowadzić do urojeń tak w jednym, jak i w drugim kierunku.

Rozeszliśmy się, omówiwszy dokładnie sytuację i nie postanowiwszy nic nowego, o godzinie 1-szej w nocy z tym jednak, że trzeba raczej jeszcze zaostrzyć środki ostrożności i mieć się na baczności. Czwartek będzie dniem przełomowym i wtedy, jeśli nie dziś, musimy się zdobyć na rozstrzygające postanowienie. Na odchodnym zapowiedziałem Darowskiemu, żeby bez mojej aprobaty nie przedsiębrał żadnych ważniejszych kroków, policję i wojsko niech utrzymuje w pogotowiu, a miasto w bezwzględnym spokoju.

Darowski miał zamiar przeprowadzić rewizję „Rozwoju“ z powodu poszlak, że stamtąd kierowano niepokojami poniedziałkowymi, ale nie mógł tego zrobić, bo było na to potrzebne pozwolenie sędziego itp. formalności. Rzecz się opóźniła, a tak spóźniona rewizja nie miała sensu, przeto się wówczas nie odbyła.

Środa, przy czujności władz i zarządzonych środkach bezpieczeństwa, minęła spokojnie i we czwartek

odbyło się w Belwederze, w południe, przejęcie urzędowania przez Narutowicza. W Alejach przed Belwederem i wysoko w górę Alej, oraz w ulicy Bagatela stało wojsko w paradzie i przepuszczało tylko zaopatrzonych w legitymacje Belwederu. O godzinie dwunastej nadjechał Narutowicz witany hymnem. Nastąpił przegląd przybocznej kompanii i plutonu i poszliśmy na górę celem odbycia aktu. Obecni byli Piłsudski, Narutowicz, obaj marszałkowie, wymienieni powyżej ministrowie oraz kancelaria cywilna i wojskowa Naczelnika w osobach szefów. Piłsudski oświadczył, że tu na piętrze są jego prywatne apartamenty i jego prywatne rzeczy, ale musimy to wszystko oglądnąć szczegółowo, by zaświadczyć, że tylko swoje rzeczy zabrał i wychodzi z Belwederu tak jak tu wszedł, w wyszarzanej kurtce swojej brygady.

Niebawem przystąpiliśmy do aktu przejęcia władzy. Ja, jako prezydent ministrów odczytałem protokół z posiedzenia Zgromadzenia Narodowego, które dokonało wyboru, oraz z posiedzenia dla zaprzysiężenia prezydenta, następnie zaś protokół z samego aktu przejęcia władzy. Protokół podpisali Piłsudski, Narutowicz, marszałkowie i ja — i przejęcie władzy było dokonane. Rozległy się salwy armatnie i zagrały muzyki wojskowe. Polska miała swego Prezydenta i rozpoczął się nowy okres historii Polski.

Akt cały zakończył się małym śniadaniem, przy którym poznałem panie: żonę i siostrę Piłsudskiego, byłego Naczelnika Państwa, obecnie Marszałka armii polskiej.

Natychmiast po przejęciu władzy przez Prezydenta Narutowicza, gdy tylko przebrzmiały echa honoro-

wych salw armatnich, wręczyłem Prezydentowi dymisję całego Gabinetu. Prezydent Narutowicz odrzekł: „Dobrze, przyjmuję, ale trzeba będzie napisać dekrety poruczające panom dalsze sprawowanie urzędu aż do definitywnego załatwienia sprawy nowego rządu". Na to wręczyłem wszystkie dekrety już przygotowane i poprosiłem o ich podpisanie, co Prezydent po pewnym wahaniu uczynił. Przy sposobności napomknąłem, że uważałbym za rzecz wskazaną i odpowiednią, aby na te kilkanaście dni, gdzie chodzić będzie tylko o utrzymanie porządku i spokoju, aż do chwili, gdy z łona Sejmu i większości będzie się mógł wyłonić trwały rząd, zamianować Darowskiego prezydentem gabinetu, przy czym powinien on zatrzymać i sprawy wewnętrzne. Prezydent uznał to za dobry pomysł i zgodził się na to w zasadzie. Przy tej sposobności powiedział mi Narutowicz, że jego wybór na Prezydenta był dla Piłsudskiego niespodzianką i że Piłsudski nie był z wyboru jego zadowolony.

Z Belwederu do domu wracałem razem z Jastrzębskim, który powiedział: „Ja nie wiem kto stworzy nowy rząd, a pan czy wie?" Odpowiedziałem na to, że nie wiem, ale żem radził Prezydentowi, żeby powierzył tę misję na ten przejściowy czas Darowskiemu. Na to odrzekł Jastrzębski: „Mimo to my jednak obaj nie wiemy, kto będzie. Ale gorzej, bo i pan Narutowicz też nie wie, wie tylko może jeden Piłsudski. O tyle nowa era nie różni się od starej". Obaj nie przeczuwaliśmy, że jednak nowa era miała inaczej wyglądać i że w niedalekiej przyszłości miała znów ulec dalszej gruntownej odmianie.

Czwartek minął spokojnie, a ja oddychałem lżej,

przetrwawszy bez wykolejenia się do objęcia prezydentury przez Narutowicza. Sytuacja była zupełnie opanowana i to opanowana trwale. Mogło nie jedno się jeszcze przydarzyć, mogły tu i ówdzie wybuchnąć nawet takie czy owakie niepokoje, ale o zachwianiu posad Rzeczypospolitej, o zachwianiu się Rządu i prawa w państwie nie mogło być mowy. Sytuacja była zupełnie w rękach Rządu. Była zaś nią przede wszystkim dlatego, że się okazało dowodnie, że na wojsko, jako fundament porządku i pewne narzędzie w ręku władz prawem ustanowionych w zupełności liczyć można. Także i policja, jeśli można się tak wyrazić, przyszła z bezwładu do siebie i stężała. Natomiast kadry urzędnicze były jeszcze w stanie półpłynnym i krystalizacja ich odbywała się powoli.

Nareszcie zdawało mi się, że mogę zasnąć spokojnie, skoro nowy Prezydent już urzęduje w Belwederze. Dotychczas bowiem słusznie mogłem nie być pewnym, co noc przynieść może i w jakich się przebudzić mogę warunkach. Były to nocne koszmary, które rozpraszał blask słońca — ale były one wytworem wyobraźni podnieconej wielkim, rosnącym ciągle, odczuwanym zresztą tylko nerwami napięciem politycznym, bo ani wykryć, ani udowodnić się ono nie dawało. Sądziłem, kalkulując na zimno, że jakkolwiek trzeba pilnować z tą samą czujnością ładu i porządku, opierając się na wojsku, jak dotychczas, to że jednak nie grożą żadne niespodzianki, tylko normalne trudności polityczne, jakieśmy przewidywali.

Narutowicz został już od razu po objęciu prezydentury na stałe w Belwederze. Piłsudski mówił mi, że go z Belwederu już nie puści, sam zaś Belweder

opuści zaraz, bo jednak w Belwederze, szczególniej na piętrze i mając pod bokiem kompanię piechoty i pluton ułanów, Narutowicz jest o wiele pewniejszy, niż w swoim mieszkaniu w Łazienkach.

Przy śniadaniu w Belwederze, po ceremonii obejmowania prezydentury, otoczenie dawniej Piłsudskiego, a obecnie Narutowicza podniosło konieczność urządzenia już w piątek, to jest nazajutrz, uroczystego „Te Deum" w katedrze, w obecności władz i posłów. Oparłem się temu, motywując, że przy dzisiejszym podnieceniu umysłów jeszcze na to za wcześnie, bo wystarczy dziesięciu gwiżdżących uliczników warszawskich, aby taką uroczystość obniżyć. Odstąpiono więc od tej myśli, projektując „Te Deum" ewentualnie na niedzielę.

Czwartek minął spokojnie, a w piątek w południe było u mnie dwóch panów z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, p. Okoń i jeszcze drugi pan, z zaproszeniem do wzięcia udziału w wernisażu wystawy w sobotę o godzinie 12-ej. Oświadczyli, że zaprosili także Prezydenta Narutowicza.

Piątek przeszedł w spokoju, jakkolwiek atmosfera była duszna. Wieczorem o godzinie siódmej pojechałem do Belwederu odwiedzić Prezydenta Narutowicza. Był rad, że mnie widzi, jednak, jak i przy poprzednich widzeniach się naszych w ostatnich dniach kilka razy powtórzył: „Ciężko, panie prezydencie, ciężko". Oświadczył mi, że powierzy utworzenie gabinetu Darowskiemu; będzie to tymczasowy gabinet, aż do momentu, gdy będzie mógł powstać gabinet parlamentarny na jakiejś większości oparty, co jak miał nadzieję, wnet nastąpi.

Opowiedziałem Narutowiczowi, że jestem zaproszony na jutro, sobotę, na godzinę dwunastą w południe na otwarcie wystawy w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych i że mówili mi zapraszający, że zaprosili i pana, panie Prezydencie. Sądzę jednak, że Prezydent Rzeczypospolitej nie ma potrzeby tam iść. Jestem zdania, że winien on urzędowanie swoje rozpocząć publicznie od jakiegoś ważniejszego aktu państwowego, a wystarczy, jeśli na jutrzejszym wernisażu będę obecny ja sam i będę tam reprezentował równocześnie Prezydenta Rzeczypospolitej. Narutowicz dał wyraz swojemu zadowoleniu z tego, że ja tam będę, mówiąc: „A to bardzo dobrze, że pan będzie, panie prezydencie". Obstawał jednak przy tym, że na otwarcie wystawy przyjedzie. Wspominał mi, że przede mną był u niego poseł Głąbiński i że była mowa o jego ewentualnym zrzeczeniu się, przy czym Narutowicz zauważył: „Na to jeszcze czas, w każdym razie nie będę tu siedział siedm lat". Doradzałem Prezydentowi, aby się nie zamykał w Belwederze i aby prowadził życie ruchliwsze, bo nigdzie nie jest napisane, że Prezydent musi się w mieszkaniu swoim zamknąć. Lubi polowanie, to będzie z pewnością miał możność się mu oddawać. Na to Narutowicz ożywiony zauważył: „O, na polowanie to ja pojadę!" Żegnając się z Prezydentem, jeszcze raz zaznaczyłem, że nie uważam za potrzebny przyjazd jego na otwarcie wystawy Zachęty i że ja tam będę punktualnie o dwunastej.

W sobotę załatwiałem rzeczy urzędowe, a jakie dziesięć minut przed dwunastą pojechałem z żoną do Zachęty. Zajechałem tam w przeciągu 5-ciu minut i zastałem sporo publiczności oraz komitet wystawy w we-

stibulu, czekających na Prezydenta. Spostrzegłem angielskiego posła Max Muellera z żoną, który mi mówił, że właśnie przeszedł grypę i nie czuje się jeszcze zupełnie zdrów, ale mimo to się zebrał, bo chciał być obecny przy pierwszym publicznym występie Prezydenta Narutowicza. Zauważyłem i posła Tomassiniego, był i minister Kumaniecki, a jeśli się nie mylę i minister Makowski. Kilkanaście minut po dwunastej zajechał automobil Prezydenta, który był u kardynała Kakowskiego z wizytą, a od niego przyjechał do Zachęty. Prezydent przywitał się z obecnymi w westibulu i wszyscy poszliśmy na piętro, celem obejrzenia wystawy. Na życzenie komitetu pozostaliśmy w paltach, obawiano się bowiem, że jest w salach za chłodno. Szedłem tuż za Narutowiczem. Rozpoczęliśmy zwiedzanie, przy czym ciceronowali nam członkowie komitetu. Oglądnęliśmy obrazy na jednej z krótszych ścian sali i doszliśmy do środka dłuższej ściany, gdy nagle rozległ się suchy trzask trzech po sobie szybko następujących strzałów. Stałem tuż obok prezydenta Narutowicza i dotykałem go w ścisku lewym ramieniem. Na moment umysł w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co właściwie zaszło. Dopiero po chwili jak błyskawica zjawiła się myśl: to zamach — przemknęło mi przez głowę, że pewnie na Prezydenta — po czym nagle wszczął się zamęt i zamieszanie na sali. Naokoło blade, wystraszone twarze — jakaś pani łkała. Nie zapomnę nigdy twarzy posła Max Muellera, bladej jak płótno z powodu wstrząsu nerwów w jego świeżo chorobą osłabionym organizmie. Prezydent osunął się na posadzkę. O kilka kroków ujrzałem słusznego mężczyznę, stojącego z wyciągniętą prosto do góry prawą

ręką, w której trzymał brauning. Zrozumiałem, że to morderca, przybliżyłem się do niego, aby go uchwycić za rękę i ubezwładnić, ale uprzedził mnie jakiś oficer i jeszcze ktoś. Rozbroili go i wyprowadzili do przyległego pokoju. Prezydent Narutowicz leżał z rozpiętym ubraniem i z obnażoną piersią. Z przestrzelonej klatki piersiowej spływała krew. Szukałem pulsu, pulsu nie było. Prezydent nie żył. Zabrałem przerażoną żonę i pojechałem do Prezydium celem wydania zarządzeń i zwołania Rady Ministrów. Ciałem Prezydenta zajęło się jego otoczenie belwederskie.

Zwołani na posiedzenie ministrowie zjeżdżali się. Przybył marszałek Sejmu Rataj i Senatu Trąmpczyński, przybył generał Sikorski i marszałek Piłsudski. Na wszystkich twarzach malowało się przerażenie i ciężka troska.

Otworzyłem posiedzenie Rady Ministrów, na której oprócz ministrów był obecnym marszałek Rataj, obecnie po śmierci Narutowicza dzierżący chwilowo także urząd Prezydenta Rzeczypospolitej, marszałek Trąmpczyński oraz szef Sztabu Generalnego, generał Sikorski. W porozumieniu z marszałkiem Ratajem zaprosiłem na posiedzenie jako marszałka wojsk, Marszałka Piłsudskiego i oddałem Ratajowi przewodnictwo, poświęciwszy wpierw żałobne wspomnienie Narutowiczowi. Dyskusja dotyczyła sytuacji wytworzonej mordem. Marszałek Piłsudski oraz Trąmpczyński byli zdania, że obecny Rząd i obecny premier powinni pozostać przy sterze i nie powinno się w tej chwili przedsiębrać żadnych zmian. Na to marszałek Rataj zastrzegł się bardzo silnie, że decyzja co do tego obecnie

do niego wyłącznie należy. Zauważyłem, że Gabinet już jako taki nie istnieje, albowiem wniósł on dymisję, która została przyjętą, i Darowski otrzymał polecenie utworzenia rządu. Musiałoby zatem to zarządzenie być cofnięte i ja musiałbym otrzymać polecenie utworzenia rządu.

W dyskusji zgodzono się, że nie zachodzi potrzeba przedsiębrania jakichś nowych zarządzeń, że zarządzenia dotyczące porządku publicznego i zabezpieczenia Rzeczypospolitej, jakie wydano od wtorku ubiegłego są zupełnie wystarczające i dają gwarancję ładu. Że nie zachodzi obecnie potrzeba wprowadzenia stanu wyjątkowego, jednak trzeba tę rzecz mieć w pogotowiu, aby w razie potrzeby można było bez zwłoki stan wyjątkowy wprowadzić. Takiego zdania był przede wszystkim Marszałek Piłsudski. Ustalono, że Zgromadzenie Narodowe celem wyboru nowego prezydenta odbędzie się w najbliższą środę, dnia 20 b. m. o godzinie 12-ej w południe, a we wtorek 19 uroczyste przewiezienie ciała z Belwederu do komnat zamkowych.

Marszałek Rataj powierzył misję utworzenia rządu szefowi Sztabu Generalnego generałowi Sikorskiemu, Marszałek Piłsudski zaś został tymczasowo szefem Sztabu. Do niedzieli nowy Gabinet został utworzony.

W niedzielę przed południem oddałem urzędowanie nowemu premierowi, generałowi Sikorskiemu, a po Zgromadzeniu Narodowym we środę wieczorem wyjechałem z powrotem do rodziny do Krakowa.

W poniedziałek poodwiedzałem niektóre osoby celem pożegnania się. Poseł amerykański dodawał mi otuchy, tłumacząc, że w Ameryce, w Stanach Zjedno-

czonych, z dotychczasowych prezydentów trzech padło ze zbrodniczej ręki, bo szaleńców zawsze i wszędzie jest poddostatkiem.

Max Muellera zastałem w łóżku, nie przyszedł bowiem jeszcze do siebie po sobotnim wstrząsie. Był on bardzo przybity strasznym zdarzeniem i uważał je za bardzo niekorzystne i szkodliwe dla Polski. Pani Max Mueller dawała wyraz swojemu oburzeniu, opowiadając, jak pewna dama z towarzystwa, będąc u niej, nie taiła swego zadowolenia z zabicia Narutowicza i mord ten uważała za pożyteczny.

Z p. Panafieu, posłem francuskim, miałem dłuższą rozmowę. Panafieu był mocno zatroskany losem Polski, uważał morderstwo za godzące w podwaliny młodego, jeszcze nie skonsolidowanego państwa. Mówił, że Francja i Francuzi mają szczere sympatie dla Polski, ale nie o to tu chodzi, nie o uczucia i o sentymenty, ale o to, że przecie los Francji jest związany z losem Polski, bo oba państwa razem stanowią siłę. Francja liczy politycznie na silną Polskę i dlatego każde jej osłabienie, każdy objaw zamętu w Polsce napełnia ją troską i obawą. Znam waszą historię, mówił Panafieu, i muszę z bólem powiedzieć, że od wieku XVIII niewiele się w charakterze Polski zmieniło. Zmieniły się kostiumy, ale dusze jednak pozostały niezmienione. Odparłem, że trzeba brać Polskę pod kątem ściśle historycznym. Wszak od przeszło stu lat była ona w niewoli, a największa część narodu była w deprawującej niewoli caratu rosyjskiego karmiona rozkładowym duchem wschodnim. Trzeba brać pod uwagę te trudne warunki, to stałe znieprawianie duszy narodu, tę przeszło stuletnią niemożność życia ży-

ciem własnym. Tego Francja nie zaznała nigdy, bo nie żyła nigdy pod obcą przemocą. Przy tym Francja jest narodem na wskróś jednolitym, nie wie co to obce narodowości na ziemi francuskiej, nie ma mniejszości narodowych — a jakiż to ciężki i trudny problem dla Polski. Zrzec się mniejszości narodowych Polska nie może, bo albo znajdują się one rozprószone po wszystkich jej ziemiach, jak np. Żydzi, albo też tam, gdzie one mieszkają skoncentrowane, tam jest także wielki procent Polaków od wieków zamieszkałych, których również, jak i ich siedzib wyrzec się nie można.

Odwiedziłem i innych posłów, aby się z nimi pożegnać. Wszyscy mocno byli zatroskani.

ANEKSY

OŚWIADCZENIE

jakie imieniem Rządu złożyłem w Sejmie Ustawodawczym przed przystąpieniem do głosowania nad projektem samorządu wojewódzkiego.

Wysoka Izbo! Stosownie do woli Sejmu obecnie na porządku dziennym obrad znajduje się przedłożenie, obejmujące zasady samorządu wojewódzkiego ze szczególnym uwzględnieniem trzech województw wschodniej Małopolski. W tych ogólnych zasadach samorząd wojewódzki jest tak pomyślany, aby, w niczym nie naruszając spoistości Państwa, dawał jednak dużym jednostkom administracyjnym możność rozwoju, zastosowaną do ich szczególnych właściwości fizycznych i etnicznych. Specjalnie stosunki narodowościowe zwracają uwagę na południowo-wschodni kąt Państwa Polskiego, na trzy wymienione w projekcie województwa. Tam my, Polacy, razem z narodem ruskim jesteśmy zmieszani w taką etniczną mieszaninę, że nie da się oddzielić jednej narodowości od drugiej w sposób geograficzny. Żyć na tych ziemiach, przeciwstawiając się jedni drugim, nie możemy, wskutek tego wyszukanie takich form bytowania, które by umożliwiły współżycie obu tych narodowości, jest koniecznością dziejową. Pan sprawozdawca Komisji Konstytucyjnej słusznie podniósł w swym referacie, że Polska zaledwie położyła fundamenty swego państwowego istnienia i w trakcie ciężkiej, znojnej pracy państwowo-twórczej nie przeoczyła jednak tego doniosłego problemu narodowościowego i w przedłożonym Wysokiej Izbie projekcie samorzutnie przystępuje do jego rozwiązania w duchu wyrozumiałości narodowościowej i w duchu

zapewnienia narodowości, zamieszkującej południowo-wschodnie województwa i od wieków tam osiadłej, możności nieskrępowanego, wszechstronnego rozwoju narodowego.

Przez przeszło sto lat doznawaliśmy w niewoli katuszy takich, że równych im mało z pewnością wykazuje historia. Dziś zaś, gdy jesteśmy wolni, gdy jesteśmy silni, mający własne potężne państwo, własną i nieprzymuszoną wolą, zapewniamy narodowości ruskiej swobodny rozwój narodowy w ramach państwa polskiego. Czynem tym stwierdzamy, że hasło, które przodkowie nasi w swoich walkach o niepodległość, w walkach krwawych i prawie beznadziejnych, wypisali na swoich sztandarach: „za waszą i naszą wolność", nie było czczym frazesem, lecz głębokim poczuciem sprawiedliwości historycznej.

Obecna gigantyczna zawierucha dziejowa, która zmiotła potężne państwa, gniotące narodowości — udowodniła, że poczucie sprawiedliwości jest równocześnie mądrością polityczną. I my też przez dzisiejsze przedłożenie, spełniając akt poczucia sprawiedliwości, spełniamy równocześnie akt przewidywania politycznego i akt politycznej mądrości. Obecna chwila jest chwilą historyczną, jest momentem dziejowym doniosłego znaczenia w życiu naszej Ojczyzny, momentem, który silnie zaważy na Jej przyszłości, bo oto kładziemy jeden z kamieni węgielnych naszej polityki. Sądzę, że się nie pomylę, jeśli w akcie tym dopatrzę się ducha, który kierował przodkami naszymi wówczas, gdy aktami Unii wzmacniali podwaliny państwa polskiego.

Rząd w świadomości wielkiej ważności chwili, którą może wielki zmarły poeta przeczuciem wieszczym miał na myśli, wołając: „jest to chwila osobliwa" — prosi Wysoki Sejm, aby dotyczące przedłożenie przyjął, o ile możności, jednomyślnie.

PROJEKT USTAWY

o zasadach samorządu województwa lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego, uchwalony przez Radę Ministrów w dniu 11 września 1922 r. i przesłany Marszałkowi Sejmu Ustawodawczego dnia 13 września.

Art. 1. Województwa lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie otrzymują samorząd. Najwyższym jego organem będą sejmiki wojewódzkie.

Art. 2. W zakres samorządu wojewódzkiego wchodzą:

1) sprawy wyznań religijnych,

2) sprawy oświecenia publicznego z wyjątkiem uniwersytetów i szkół z nimi zrównanych,

3) sprawy dobroczynności publicznej,

4) sprawy zdrowotności publicznej z wyjątkiem policji sanitarnej,

5) sprawy dróg publicznych, wojewódzkich, powiatowych i gminnych oraz dróg żelaznych lokalnych,

6) sprawy agrarne z wyłączeniem reformy rolnej i wszystkie środki służące do poparcia rolnictwa,

7) poparcie przemysłu i handlu,

8) zastosowanie ustaw państwa w sprawie zużytkowania wód dla melioracji i dla uzyskania siły popędowej,

9) zastosowanie ustaw państwa o organizacji i administracji gmin i powiatów,

10) budżet dochodów i wydatków samorządu wojewódzkiego i zamknięcia rachunkowe,

11) wreszcie inne sprawy, przekazane sejmikom przez Sejm Rzeczypospolitej.

Art. 3. W sprawach powyższych sejmik ma prawo uchwalać ustawy obowiązujące na obszarze województwa, a na podstawie ustaw uchwalać postanowienia natury administracyjnej.

Wszelkie uchwały sejmików muszą uwzględniać postanowienia Konstytucji Rzeczypospolitej, oraz tych ustaw, które w niej są powołane i które ją uzupełniają.

Uchwały w sprawach wymienionych w art. 2 ustępach 1, 3, 4 i 7 muszą nadto trzymać się granic wytkniętych w tych sprawach przez ustawy państwowe.

Art. 4. Do każdej ustawy wojewódzkiej potrzebna jest uchwała sejmiku oraz sankcja Prezydenta Rzeczypospolitej z kontrasygnatą Prezydenta Ministrów i właściwego ministra.

Art. 5. Liczba członków sejmiku będzie ustalona w ten sposób, by na każdych 25.000 mieszkańców województwa przypadał 1 członek sejmiku. Liczbę 25.000 należy jednak ewentualnie obniżyć tak, aby na każdą z izb narodowych sejmiku przypadało najmniej 20 członków.

Art. 6. Prawo wyborcze czynne i bierne do sejmiku mają wszyscy mieszkańcy województwa, którym służy prawo wyborcze do Sejmu Rzeczypospolitej.

Wojewoda i państwowi urzędnicy administracji politycznej nie mogą być wybierani do sejmiku tego województwa, w obrębie którego pełnią służbę.

Członków sejmiku wybiera ludność województwa na lat 5.

Art. 7. Wybory do sejmików odbywać się będą na tych samych zasadach, które obowiązują przy wyborach do Sejmu Rzeczypospolitej.

Wyborcy narodowości polskiej i wyborcy narodowości ruskiej wybierać będą jednak osobno z zachowaniem postanowień art. 20.

Ordynację wyborczą do pierwszych wyborów do sejmiku wyda Prezydent Rzplitej, na podstawie uchwały Rady Ministrów. Ordynację do następnych wyborów określi ustawa, uchwalona przez sejmik.

Art. 8. Prezydent Rzplitej zwołuje, odracza i rozwiązuje sejmik.

Sejmik zwołany będzie przynajmniej raz na rok.

W razie rozwiązania sejmiku nowe wybory powinny być zarządzone nie później, niż w terminie trzechmiesięcznym od dnia rozwiązania.

Art. 9. O ważności wyborów i wyboru poszczególnych posłów do sejmiku decyduje Sąd Najwyższy.

Art. 10. Postanowienia art. 21 Konstytucji Rzeczypospolitej, odnoszące się do posłów na Sejm, odnosić się będą także do członków sejmiku, z tą zmianą, że prawa, przyznane w artykule tym Sejmowi, służyć będą właściwej izbie narodowej sejmiku, a nietykalność poselska służyć będzie posłom na sejmik tylko w czasie trwania sesji sejmiku.

Postanowienia artykułu 22 Konstytucji Rzeczypospolitej, odnoszące się do posłów na Sejm, odnosić się będą także do posłów na sejmik w stosunku ich do samorządu i do władz samorządowych w województwie, w którym na sejmik posłują.

Art. 11. Sposób i porządek obrad sejmiku, oraz diety jego członków na czas trwania sesji określi ustawa regulaminowa, uchwalona przez sejmik.

Art. 12. Członkowie narodowości polskiej tworzą na sejmiku izbę narodową polską, a członkowie narodowości ruskiej izbę narodową ruską, z których każda obraduje osobno pod kierunkiem wybranego przez siebie przewodniczącego lub jego zastępcy.

W sprawach wspólnych uchwała przychodzi do skutku za zgodą obu izb. W sprawach obchodzących tylko jedną narodowość wystarcza uchwała tylko jej narodowej izby.

Art. 13. Na cele samorządu województwa Sejm Rzplitej przeznaczać będzie corocznie kwotę, odpowiadającą wydatkowi, który na te same cele w innych województwach ponosi państwo, a to według stosunku liczby ludności województwa do liczby ludności reszty województw.

Z kwoty tej będą pokrywane przede wszystkim wydatki wspólne województwa, a reszta rozdzielona do rozporządzenia izb narodowych, ewentualny zaś niedobór przez izby te uzupełniany. Podstawą rozdziału, względnie uzupełnienia będzie liczbowy stosunek ludności polskiej do ruskiej na obszarze województwa. Wydatki na cele samorządu jednej narodowości pokrywa każda izba narodowa osobno, nakładając na ludność swej narodowości dodatki do podatków państwowych

bezpośrednich lub podatki bezpośrednie. O ile obie izby zamierzają na cele te nałożyć podatek pośredni lub opłatę nie dającą się rozłożyć według narodowości opodatkowanych, to muszą się porozumieć i nałożyć zgodnie podatek taki, lub opłatę na wszystkich mieszkańców, a wynikiem ich się podzielić według stosunku liczbowego obu narodowości.

Ustawy podatkowe województwa nie mogą naruszać systemu podatkowego państwa.

Art. 14. Wojewoda reprezentuje na sejmiku Rząd Rzplitej i ma prawo brać udział w jego obradach osobiście lub przez delegowanego urzędnika.

Art. 15. Dla przygotowania i wykonania uchwał sejmiku oraz dla sprawowania administracji w zakresie samorządu wojewódzkiego, powołane będą komisja wyznań i oświecenia publicznego i komisja gospodarcza. Każda z nich składać się będzie z 2 sekcji, polskiej i ruskiej, obradujących i uchwalających pod prezydencją wojewody lub jego zastępcy. W sprawach ogólnej natury obie sekcje komisji obradować będą i uchwalać razem, w sprawach obchodzących tylko jedną narodowość, każda z nich osobno.

Art. 16. Każda sekcja komisji liczyć będzie sześciu członków, z których połowę wybiera właściwa izba narodowa na czas trwania swoich mandatów, drugą zaś połowę mianuje wojewoda, a to Polaków do polskiej, a Rusinów do ruskiej sekcji.

Art. 17. Każdej sekcji dodane będzie biuro złożone z urzędników jej narodowości, mianowane przez wojewodę i jemu podległych.

Art. 18. Wojewoda ma prawo zawiesić każdą uchwałę sejmiku nie podlegającą sankcji Prezydenta Rzeczypospolitej oraz uchwały komisji, które zdaniem jego sprzeciwiają się ustawom, winien jednak przedłożyć sprawę zaraz właściwemu ministrowi, a ten, jeżeli godzi się ze zdaniem wojewody, winien przedłożyć sprawę do decyzji Trybunału Administracyjnego. Postępowanie Trybunału w tych sprawach określi osobna ustawa państwowa.

Art. 19. Dla ułatwienia zakładania list wyborczych do sejmiku oraz dla ułatwienia spisów opodatkowanych w razie nakładania osobnych podatków na ludność polską, a osobnych na ruską, założony będzie w każdym z trzech województw kataster narodowy polski i kataster narodowy ruski, do których mają być wpisane także osoby prawne według narodowości ich zarządu.

Art. 20. Mieszkańcy województwa nie należący ani do narodowości polskiej ani do ruskiej przyłączeni będą do katastru narodowego polskiego lub ruskiego i według tego będą wykonywać swoje prawo wyborcze czynne i bierne w okręgach wyborczych polskich, względnie ruskich oraz opłacać podatki nałożone przez izbę, do której katastru są przyłączeni.

Przy przyłączeniu do katastru polskiego lub ruskiego uwzględnione będzie w pierwszym rzędzie oświadczenie się danej jednostki.

Bliższe szczegóły o założeniu i prowadzeniu katastru narodowego wydane będą w drodze rozporządzenia.

Art. 21. Na obszarze pomienionych województw ani państwo, ani żadne ciało samorządne publiczne nie może prowadzić ani popierać kolonizacji.

Art. 22. Władze i sądy państwowe posługując się w wewnętrznym swoim urzędowaniu językiem polskim, znosić się będą w powyższych trzech województwach ze stronami w ich własnym polskim, względnie ruskim języku, a to zarówno w korespondencji pisemnej, jak w przyjmowaniu zeznań do protokółów i przeprowadzaniu rozpraw.

Ustawy wojewódzkie i wszelkie ogłoszenia urzędowe ogłaszane będą w języku polskim i w języku ruskim w dzienniku urzędowym województwa.

Ustawy, rozporządzenia i inne akty państwowe nabierające mocy powszechnie obowiązującej przez ogłoszenie w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej będą podawane do wiadomości wspomnianych województw w przekładzie na język ruski, o ile możności w tym samym czasie.

Władze samorządowe określą same, każda z nich swój ję-

zyk urzędowy wewnętrzny i zewnętrzny, obowiązane są jednak przyjmować pisma w drugim języku i na nie odpowiadać.

Art. 23. Sprawę języka wykładowego oraz nauki innych języków w szkołach określi każda izba narodowa sejmiku dla szkół swej narodowości.

Art. 24. Przy obsadzaniu urzędów i posad państwowych na obszarze pomienionych województw będzie zwrócona szczególniejsza uwaga na to, aby skład narodowościowy ciał urzędniczych odpowiadał potrzebom obu narodowości.

Art. 25. Przy obsadzaniu posad w ministerstwach i władzach centralnych zapewnioną będzie narodowości ruskiej ilość stanowisk odpowiadająca jej słusznym potrzebom.

W szczególności zaś w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia Publicznego utworzone będą osobne wydziały dla spraw kościoła grecko-katolickiego i dla spraw szkolnictwa ruskiego, obsadzone przez urzędników narodowości ruskiej.

Art. 26. Za czyny natury politycznej popełnione od dnia 28 lipca 1914 r. po dzień ogłoszenia niniejszej ustawy żaden z mieszkańców pomienionych województw do odpowiedzialności pociągniętym nie będzie.

Art. 27. Założenie, organizacja i budżet uniwersytetu ruskiego będzie rzeczą Rządu i Sejmu Rzplitej. Uniwersytet ruski, zorganizowany autonomicznie, podlegać będzie bezpośrednio ministrowi wyznań i oświecenia.

Art. 28. Samorząd pomienionych województw zostanie wprowadzony w życie najpóźniej w 2 lata po ogłoszeniu. Niezbędne w tym celu zarządzenia wyda Prezydent Rzplitej na podstawie uchwały Rady Ministrów.

Art. 29. Wykonanie niniejszej ustawy poleca się Prezydentowi Ministrów.

Art. 30. Ustawa niniejsza wchodzi w życie . . .

USTAWA Z DNIA 26 WRZEŚNIA 1922 ROKU

o zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego, a w szczególności województwa lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego.

Rozdział I

Postanowienia ogólne

Art. 1. Województwa, utworzone w drodze ustawodawczej, są jednostkami samorządowymi (art. 65 ustawy konstytucyjnej).

Prawo stanowienia w sprawach, należących do zakresu działania tego samorządu, przysługuje obieralnym sejmikom wojewódzkim (art. 67 ustawy konstytucyjnej).

Art. 2. Ustawy państwowe określą, jakie sprawy wchodzą w zakres samorządu wojewódzkiego, zwłaszcza z dziedziny kulturalnej, gospodarczej, komunikacji, ochrony zdrowia, opieki nad ubogimi, administracji samorządowej i skarbowości publicznej.

Art. 3. W sprawach, przekazanych samorządowi wojewódzkiemu, sejmiki mają prawo uchwalać ustawy w granicach postanowień ustawy konstytucyjnej oraz ustaw państwowych.

Ustawy wojewódzkie, uchwalone przez sejmiki, nabierają mocy obowiązującej na obszarze województwa przez sankcję Prezydenta Rzeczypospolitej, zaopatrzoną w kontrasygnatę Prezesa Rady Ministrów i właściwego ministra, oraz ogłoszenie w dzienniku urzędowym województwa.

Na podstawie ustaw wojewódzkich mogą sejmiki uchwalać postanowienia natury administracyjnej.

Art. 4. Ordynację wyborczą sejmików wojewódzkich uchwali Sejm Rzeczypospolitej.

O ważności wyborów i wyboru poszczególnych posłów do sejmiku orzeka Sąd Najwyższy.

Art. 5. Prezydent Rzeczypospolitej zwołuje sejmik przynajmniej raz na rok, odracza go i rozwiązuje.

W razie rozwiązania sejmiku nowe wybory będą zarządzone najpóźniej w terminie trzechmiesięcznym.

Art. 6. Postanowienia art. 21 ustawy konstytucyjnej, odnoszące się do posłów na Sejm, odnosić się będą także do posłów sejmiku z tą zmianą, że prawa, przyznane w artykule tym Sejmowi, służyć będą sejmikom, a nietykalność poselska przysługiwać będzie posłom na sejmik tylko w czasie trwania obrad sejmiku.

Postanowienia art. 22 ustawy konstytucyjnej, odnoszące się do posłów na Sejm, odnosić się będą także do posłów na sejmik w stosunku ich do samorządu i do władz samorządowych w województwie, w którym na sejmik posłują.

Art. 7. Dla przygotowania i wykonania uchwał sejmiku oraz dla sprawowania administracji w zakresie samorządu wojewódzkiego powołane będą wydziały wojewódzkie, których skład określi ustawa szczegółowa.

Art. 8. Wojewoda reprezentuje na sejmiku Rząd Rzeczypospolitej, ma prawo brać udział w jego obradach osobiście lub przez delegowanych urzędników, przedkładać wnioski ustawodawcze, zawiesić każdą uchwałę sejmiku, nie podlegającą sankcji Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz uchwały wydziału wojewódzkiego, jeżeli zdaniem jego sprzeciwiają się ustawom.

W razie zawieszenia uchwały sejmiku lub wydziału wojewódzkiego, wojewoda przedłoży bezwłocznie sprawę właściwemu ministrowi, a minister, jeżeli godzi się ze zdaniem wojewody, przedłoży ją do decyzji Najwyższemu Trybunałowi Administracyjnemu.

Postępowanie Najwyższego Trybunału Administracyjnego w tych sprawach określi osobna ustawa państwowa.

Rozdział II

Postanowienia szczegółowe, odnoszące się do województw: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego

Art. 9. Samorząd wojewódzki województwa lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego obejmuje:

1) sprawy wyznań religijnych,

2) sprawy oświecenia publicznego, z wyjątkiem uniwersytetów i szkół, z nimi zrównanych,

3) sprawy dobroczynności publicznej,

4) sprawy zdrowotności publicznej, z wyjątkiem policji sanitarnej,

5) sprawy budowlane tudzież dróg publicznych wojewódzkich, powiatowych i gminnych oraz dróg żelaznych lokalnych,

6) sprawy agrarne z wyłączeniem reformy rolnej i wszystkie środki, służące do popierania rolnictwa,

7) poparcie przemysłu i handlu,

8) zastosowanie ustaw Państwa w sprawie regulacji wód, melioracji i wyzyskania sił wodnych,

9) zastosowanie ustaw Państwa o organizacji i administracji gmin i powiatów,

10) budżet dochodów i wydatków samorządu wojewódzkiego i zamknięcie rachunkowe,

11) wreszcie inne sprawy, które mu przekaże Sejm Rzeczypospolitej.

Art. 10. W każdym z tych trzech województw sejmik składa się z dwóch izb, z których jedną tworzą posłowie kurii ruskiej.

Obie izby obradują i uchwalają osobno pod kierunkiem wybranego przez nie przewodniczącego lub jego zastępcy.

W sprawach wspólnych uchwała zapada za zgodą obu izb.

W sprawach, obchodzących tylko jedną kurię, wystarcza uchwała tylko jednej właściwej izby.

Uprawnienia, zastrzeżone sejmikom wojewódzkim w art. 6 ust. 1 niniejszej ustawy, przysługiwać będą właściwej izbie sejmiku.

Art. 11. Sposób i porządek obrad sejmiku wojewódzkiego oraz diety jego członków na czas trwania obrad określi ustawa regulaminowa, uchwalona przez sejmik.

Art. 12. Sejmik wojewódzki lwowski składa się ze stu członków, z których po pięćdziesięciu przypada na każdą izbę.

Sejmiki wojewódzkie: stanisławowski i tarnopolski składają się każdy z sześćdziesięciu członków, z których po trzydziestu przypada na każdą izbę.

Art. 13. Na cele samorządu pomienionych województw Sejm Rzeczypospolitej przeznaczać będzie corocznie kwotę, odpowiadającą wydatkowi, który na te same cele w innych województwach ponosi Państwo, a to według stosunku liczby ludności województwa do liczby ludności reszty województw.

Z kwoty tej będą pokrywane przede wszystkim wydatki wspólne województwa; ewentualna nadwyżka będzie rozdzielona pomiędzy obie izby do ich rozporządzenia, ewentualny niedobór zaś będzie pokryty przez obie izby.

Zasiłki, przeznaczane na pokrycie szkód, wyrządzonych działaniami wojennymi, nie będą przy obliczeniu tej kwoty brane w rachubę.

Art. 14. Wydatki na cele samorządu jednej tylko kurii pokrywa każda izba osobno, nakładając na ludność swej kurii dodatki do podatków państwowych bezpośrednich lub podatki bezpośrednie.

Art. 15. O ile obie izby zamierzają nałożyć na cele ogólne podatek pośredni lub opłatę, nie dającą się rozłożyć wedle przynależności do kurii opodatkowanych, to muszą się porozumieć i nałożyć zgodnie podatek taki lub opłatę na wszystkich mieszkańców województwa.

Art. 16. Nadwyżkę, pozostałą po pokryciu wydatków wspólnych (art. 13 i art. 15 niniejszej ustawy), rozdziela się pomiędzy obie izby sejmiku wedle stosunku liczbowego kurii ruskiej do ogółu ludności danego województwa.

Tę samą zasadę stosuje się przy rozdziale kwot, przeznaczonych na pokrycie ewentualneego niedoboru, wynikłego z wydatków wspólnych.

Art. 17. Zasady zakładania i prowadzenia katastru podatkowego dla obu izb sejmiku wojewódzkiego określi osobna ustawa.

Art. 18. Wydziały wojewódzkie (art. 7) składać się będą z wojewody lub jego zastępcy, jako przewodniczącego, oraz

z 8 członków i tyluż zastępców, wybranych po połowie oddzielnie przez każdą izbę sejmiku wojewódzkiego, tudzież z 4 członków i tyluż zastępców, mianowanych spośród obywateli obu kurii przez wojewodę.

Art. 19. Wydział dzieli się na dwie sekcje narodowe, które obradują pod przewodnictwem wojewody lub jego zastępcy. W sprawach ogólnej natury obie sekcje wydziału wojewódzkiego będą obradować i uchwalać razem. W sprawach, obchodzących tylko jedną kurię, każda sekcja będzie obradować i uchwalać oddzielnie.

Art. 20. Wydziałom wojewódzkim dodani będą urzędnicy odpowiednio wykwalifikowani, służbowo podlegli wojewodzie, jako przewodniczącemu wydziału wojewódzkiego, i przez niego mianowani. Przy mianowaniu należy obok kwalifikacji urzędowej uwzględniać narodowość kandydatów, tak, aby skład urzędów wydziałów wojewódzkich odpowiadał rzeczywistym potrzebom narodowościowym.

Podobnie postępować należy przy obsadzaniu innych urzędów i posad na obszarze pomienionych województw, a we władzach centralnych w tych działach, które są instancją państwową spraw kościoła grecko-katolickiego i szkolnictwa ruskiego.

Art. 21. Na obszarze pomienionych województw ani Państwo, ani żadne ciało samorządowe publiczne nie może prowadzić kolonizacji.

Art. 22. Władze i sądy państwowe, posługując się w wewnętrznym swym urzędowaniu językiem polskim, niemniej władze samorządowe, odpowiadać będą na podania stron w ich języku, tj. polskim, względnie ruskim, przyjmować będą zeznania w obu językach ustnie do protokołów i w przeprowadzaniu rozpraw.

Władze samorządowe określą same swój język wewnętrznego urzędowania.

Art. 23. Język wykładowy w szkołach, utrzymywanych przez jedną z izb sejmiku wojewódzkiego, określi taż izba.

Art. 24. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwali utworzenie uniwersytetu ruskiego i zapewni mu potrzebne środki finansowe ze Skarbu Państwa. Uniwersytet ten, zorganizowany autonomicznie, zgodnie z przepisami, dotyczącymi szkół akademickich, podlegać będzie bezpośrednio ministrowi wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

Art. 25. Ustawy wojewódzkie i wszelkie ogłoszenia urzędowe publikowane będą w języku polskim i ruskim w dzienniku urzędowym województwa.

Ustawy, rozporządzenia i inne akty państwowe, nabierające mocy powszechnie obowiązującej przez ogłoszenie w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej, będą podawane do wiadomości wspomnianych województw w dzienniku urzędowym województwa, także w przekładzie na język ruski, o ile możności w tym samym czasie.

Art. 26. Samorząd pomienionych województw zostanie wprowadzony w życie najpóźniej w 2 lata po ogłoszeniu niniejszej ustawy.

W tymże czasie przystąpi Rząd do założenia uniwersytetu ruskiego.

Rozdział III

Postanowienia końcowe

Art. 27. Wykonanie tej ustawy poleca się ministrowi spraw wewnętrznych.

Art. 28. Ustawa niniejsza nabiera mocy obowiązującej z dniem ogłoszenia.

Termin wejścia jej w życie w województwach, posiadających już samorząd wojewódzki, określi osobna ustawa.

Marszałek
Trąmpczyński

Prezydent Ministrów
Julian Nowak

Minister Spraw Wewnętrznych
A. Kamieński

DECYZJA KONFERENCJI AMBASADORÓW

Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Japonii w sprawie granic Polski powzięta dnia 15 marca 1923 r.

Imperium Wielkiej Brytanii, Francja, Włochy i Japonia, które podpisały wraz ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki, jako Główne Mocarstwa Sprzymierzone i Stowarzyszone, Traktat Pokoju Wersalski,

Zważywszy, że według brzmienia artykułu 87, ustęp 3 tegoż Traktatu, do nich należy oznaczyć granice Polski, które nie były wyszczególnione przez ten Traktat;

Zważywszy, że Rząd Polski przedstawił w dniu 15 lutego 1923 roku Konferencji Ambasadorów prośbę, dążąc do tego, by Mocarstwa, mające w niej swych przedstawicieli, zrobiły użytek z praw, nadanych im przez pomieniony artykuł;

Zważywszy, że, według brzmienia Artykułu 91 Traktatu Pokoju, podpisanego w St. Germain-en Laye, Austria zrzekła się na rzecz Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych wszystkich praw i tytułów na terytoriach, które należały uprzednio do byłej Monarchii Austro-Węgierskiej i które, położone poza nowymi granicami Austrii, takimi, jakie są opisane w Artykule 27 rzeczonego Traktatu, nie są obecnie przedmiotem żadnego innego przyznania;

Wobec tego, iż uznane zostało przez Polskę, że co się tyczy wschodniej części Galicji, warunki etnograficzne czynią koniecznym ustrój autonomiczny;

Zważywszy, iż Traktat, zawarty pomiędzy Głównymi Mocarstwami Sprzymierzonymi i Stowarzyszonymi a Polską w dniu 28 czerwca 1919 roku, przewidział dla wszystkich terytoriów, znajdujących się pod zwierzchnictwem polskim, gwarancje specjalne na rzecz mniejszości rasy, języka lub religii;

Zważywszy, iż co do granicy z Rosją, Polska weszła bezpośrednio w stosunki z tym Państwem celem jej oznaczenia;

Poleciły Konferencji Ambasadorów rozstrzygnąć tę sprawę.

Na skutek czego Konferencja Ambasadorów:

I. Postanawia uznać jako granice Polski:

1° Z Rosją:

Linię oznaczoną i zasłupioną, za zgodą obu Państw i na ich odpowiedzialność, w dniu 23 listopada 1922 r.

DÉCISION DE LA CONFÉRENCE DES AMBASSADEURS AU SUJET DES FRONTIÈRES DE LA POLOGNE

L'Empire Britannique, la France, L'Italie et le Japon, signataires avec Les Etats Unis d'Amérique, comme Principales Puissances alliées et associées, du Traité de Paix de Versailles,

Considérant qu'aux termes de l'Article 87, alinea 3, dudit Traité, il leur appartient de fixer les frontières de la Pologne, qui n'ont pas été spécifiées par ce Traité;

Considérant que le Gouvernement polonais a adressé, le 15 février 1923, à la Conférence des Ambassadeurs, une demande tendant à voir les Puissances, qui s'y trouvent représentées, faire usage des droits que leur confére ledit article;

Considérant qu'aux termes de l'Article 91 du Traité de Paix de Saint-Germain-en Laye, l'Autriche a renoncé, en faveur des Principales Puissances alliées et associées, à tous ses droits et titres sur les territoires, qui appartenaient antérieurement à l'ancienne Monarchie austro-hongroise et qui, situés au delà des nouvelles frontières de l'Autriche, telles qu'elles sont décrites à l'Article 27 dudit Traité, ne sont actuellement l'objet d'aucune autre attribution;

Considérant qu'il est reconnu par la Pologne, qu'en ce qui concerne la partie orientale de la Galicie, les conditions ethnographiques nécessitent un régime d'autonomie;

Considérant que le Traité conclu entre les Principales Puissances alliées et associées et la Pologne, le 28 juin 1919, a prévu pour tous les territoires placés sous la souveraineté

polonaise, des garanties spéciales en faveur des minorités de race, de langue ou de religion;

Considérant qu'en ce qui concerne sa frontière avec la Russie, la Pologne est entrée directement en rapport avec cet Etat en vue d'en déterminer le tracé;

Ont chargé la Conférence des Ambassadeurs du réglement de cette question.

En conséquence, la Conférence des Ambassadeurs:

I. Décide de reconnaître comme frontières de la Pologne:

1° Avec la Russie:

La ligne tracée et abornée d'accord entre les deux Etats et sous leur responsabilité à la date du 23 Novembre 1922.

PISMO PROF. ALFREDA HALBANA

Lwów, dnia 6. XI. 1922 r.

Szanowny Panie Prezydencie!

Właśnie dlatego, że uważałem za mój obowiązek pesymistycznie przedstawić możliwość wyborów w naszych województwach, spieszę wyrazić szczerą radość z powodu mej omyłki. Już bowiem dziś powiedzieć można, że nie udało się udaremnić wyborów, a co więcej, że agitacja ruska okazała się bezsilną! Dzięki Bogu — a Panu Prezydentowi szczere życzenia.

Tym szczersze, że ze wszystkich stron słyszę, iż istotnie „nasza" ustawa z d. 26. IX. przyczyniła się w wysokim stopniu do otrzeźwienia Rusinów. Widzę coraz jaśniej, że udało się znaleźć odpowiednią dawkę; mniej byłoby wzbudzało nieufność, więcej byłoby poczytane za słabość. Wybitny a hardy Rusin mówił mi wczoraj rzecz bardzo znamienną; oto, że Rusini rozumieć zaczynają, iż zbudowaliśmy im most, do którego jednak muszą sami dorobić poręcze; rozumieją, iż ustawa z 2-letnim terminem i z tylu zastrzeżeniami wy-

maga wykończenia, w którym Rusini sami muszą wziąć czynny udział. — Muszę powiedzieć, że sam nie przypuszczałem, że ta ustawa (której wadliwości prawnicze znam może najlepiej) okaże się psychologicznie tak dobrą.

Jako schodzącemu z areny nie pozostaje mi zatem nic innego, jak tylko życzyć Panu Prezydentowi, pod którego patronatem danym mi było stworzyć tę ustawę, aby Panu właśnie przypadło w udziale wszechstronne i zbawienne rozbudowanie sprawy polsko-ruskiej, aby więc sprawdziło się to, co się przebijało z Pańskich słów wypowiedzianych z trybuny podczas dyskusji sejmowej dnia 26. IX. Sobie zaś poczytuję jako obywatel, jako prawnik i polityk, za największe zadośćuczynienie, iż miałem możność zakończenia mej kariery politycznej uczestnictwem w tej sprawie.

Pozostaję z wyrazami wysokiego szacunku i poważania.

Prof. dr Alfred Halban

ŹRÓDŁA

do szkicu historycznego problemu Małopolski Wschodniej

Bobrzyński Michał: „Dzieje Polski w zarysie". Tom III.

Bobrzyński Michał: „Wskrzeszenie Państwa Polskiego".

Berezowski Cezary: „Powstanie Państwa Polskiego w świetle Prawa Narodów".

Dąbrowski Jan: „Wielka Wolna 1914—1918".

Kutrzeba Stanislas: „La Question Polonaise pendant la Guerre Mondiale".

Kumaniecki Kazimierz: „Odbudowa państwowości polskiej. Najważniejsze dokumenty".

Seyda Marian: „Polska na przełomie dziejów".

SPIS RZECZY

ANEKSY

DRUKARNIA
W. L. ANCZYCA
i SPÓŁKI
W KRAKOWIE